

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



ARTUR CONAN DOYLE

**STUDIUM W
SZKARŁACIE**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

CZĘŚĆ PIERWSZA

*Przedruk z pamiętnika Johna H. Watsona,
doktora medycyny,
byłego lekarza Wojskowej Służby Zdrowia.*

I. Sherlock Holmes

W roku 1878 ukończyłem uniwersytet londyński i z dyplomem doktora medycyny w kieszeni pojechałem do Netley na kurs chirurgów wojskowych. Gdy uzupełniłem tam swoje wiadomości, przydzielono mnie do Piątego Pułku Northumberlandzkich Strzelców jako młodszego chirurga. W owym czasie pułk stał w Indiach i zanim zdążyłem się w nim zameldować, wybuchła druga wojna afganistańska¹. Po wylądowaniu w Bombaju dowiedziałem się, że mój korpus przełęczami przedostał się głęboko w kraj nieprzyjacielski. W towarzystwie wielu oficerów, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji, pogoniłem za swoim korpusem i szczęśliwie dotarłem do Kandaharu, gdzie stawilem się w pułku i od razu przystąpiłem do pełnienia moich nowych obowiązków.

Kampania afganistańska wielu osobom przyniosła zaszczyty i awanse, dla mnie jednak obfitowała tylko w nieszczęścia i klęski. Z mojej brygady przeniesiono mnie do Berkshire Strzelców i z tym pułkiem uczestniczyłem w nieszczęsnej bitwie pod Maiwand. Wtedy to kula z ciężkiego muszkietu przebiła mi ramię i nadwreżyła kość, naruszając tętnicę podobojczykową. Niewątpliwie wpadłbym w ręce bezlitosnych Ghazi², gdyby nie poświęcenie i odwaga mego ordynansa, Murraya, który władował mnie na grzbiet jucznego konia i szczęśliwie przedostał się ze mną do brytyjskich linii.

Oslabionego bólem i wyczerpanego ciężkimi, długotrwałymi trudami, które wypadło mi znieść, wywieziono mnie z całym transportem rannych do głównego szpitala w Peshawurze. Tu przyszedłem nieco do siebie i na tyle podreperowałem nadwątlone siły, że mogłem spacerować po salach i nawet nieco werdować. Aż nagle zwalił mnie z nóg tyfus brzuszny, to przekleństwo naszych indyjskich kolonii. Kilka miesięcy walczyłem ze śmiercią, a gdy się jej wreszcie wymknąłem i zacząłem powracać do zdrowia, byłem tak słaby i wycieńczony, że komisja lekarska kazała mnie niezwłocznie ewakuować do Anglii. Odesłano mnie więc na okręt wojenny „Orontes” i w miesiąc później wysiadłem na molo w Portsmouth z doszczętnie zrujnowanym zdrowiem, ale za to z wspaniałomyślnie udzielonym mi przez rząd dziewięciomiesięcznym urlopem, abym postarał się odzyskać stracone siły.

W Anglii nie miałem nikogo bliskiego, byłem więc wolny jak ptak lub raczej jak człowiek z dziennym dochodem jedenastu szylingów i sześciu pensów. W tych warunkach oczywiście ciągnęło mnie do Londynu, tego wielkiego śmietniska, które z nieodpartą siłą ciągnie do siebie wszystkich włóczęgów i nierobów z całego Imperium. Tu czas jakiś mieszkałem w hoteliku na Strandzie, pędząc życie niewygodne i jałowe, i pozwalając sobie na wydatki o wiele większe, niż mogła znieść moja kieszeń. Wkrótce więc znalazłem się w tak krytycznej sytuacji finansowej, że pozostały mi tylko dwa wyjścia: porzucić stolicę i wynieść się na wieś lub gruntownie zmienić swój styl życia. Wybrałem to drugie i zacząłem zastanawiać się nad opuszczeniem hotelu i urządzeniem się gdzieś skromniej i taniej.

Tego samego dnia, kiedy powziąłem to postanowienie, stałem sobie w barze „Criterion”, gdy nagle ktoś klepnął mnie po ramieniu. Odwróciłem się i zobaczyłem młodego Stamforda, mego asystenta w szpitalu św. Bartłomieja w Londynie. Dla człowieka samotnego widok znajomej twarzy w dzungli Londynu jest niemałą radością. Dawniej łączyły mnie dość obojętne stosunki ze Stamfordem, ale teraz powitałem go entuzjastycznie, a i on ze swej strony

¹ Druga wojna afganistańska wybuchła w 1878 r., kiedy to Anglia próbowała powtórnie podporządkować sobie ten kraj. Po dwuletnich ciężkich walkach wojska angielskie zmuszone były opuścić Afganistan, zaś rząd brytyjski, jakkolwiek zachował kontrolę nad polityką zagraniczną Afganistanu, to jednak zmuszony był uznać jego suwerenność państwową.

² Ghazi (arab.) – bohater; tytuł wodzów muzułmańskich, walczących z niewiernymi.

wydawał się uszczęśliwiony moim widokiem. W radosnym uniesieniu zaprosiłem go na śniadanie do restauracji „Holborn” i nie zwlekając wsiedliśmy do dorożki.

– Co się z panem działo? – zapytał mnie Stamford z nie ukrywanym zdziwieniem, gdy wleliśmy się zatłoczonymi ulicami Londynu. – Wysechł pan na szczapę i jest pan brązowy jak orzech.

W paru słowach opowiedziałem mu moje przygody i właśnie skończyłem, gdy stanęliśmy na miejscu.

– Biedaku – powiedział współczująco, wysłuchawszy moich nieszczęść. – I co pan teraz zamierza?

– Rozglądam się za mieszkaniem – odpowiedziałem – i staram się rozstrzygnąć zagadnienie, jak tu za tanie pieniądze wygodnie się ulokować.

– Dziwne – zauważył mój towarzysz – pan jest dziś drugim człowiekiem, od którego słyżę to samo.

– Kto był tym pierwszym? – zapytałem.

– Pewien jegomość, który pracuje w chemicznym laboratorium szpitala. Dziś rano zalewał się gorzkimi łzami, że nie może znaleźć nikogo, z kim mógłby do spółki wziąć wygodne mieszkanie, które gdzieś znalazł i które jest za drogie dla niego samego.

– Na Boga! – wykrzyknąłem. – Jeśli naprawdę szuka współnika do mieszkania i komornego, to przecież i mnie o to chodzi. Wolę mieszkać z kimś niż sam.

Młody Stamford dość dziwnie spojrział na mnie spoza szklanki z winem.

– Gdyby pan znał Sherlocka Holmesa – zaczął – może nie uważałby go pan za przyjemnego towarzysza na codzień.

– Dlaczego? Co mu można zarzucić?

– Nie powiedziałem, że można mu coś konkretnie zarzucić. Nie powiedziałbym, że w ogóle można mu coś zarzucić. Tylko jest trochę dziwak... entuzjazmuje się pewnymi gałęziami wiedzy. Ale to człowiek przyzwoity.

– Studiuje medycynę? – zapytałem.

– Nie... właściwie nie wiem, jaki obrał kierunek. Dobrze zna anatomię i jest pierwszorzędnym chemikiem. Ale nigdy chyba systematycznie nie pracował nad medycyną. Jego studia są chaotyczne i dziwaczne; zebrał olbrzymi zapas oderwanych wiadomości, którymi mógłby zadziwić swych profesorów.

– Nigdy go pan nie pytał, do czego dąży?

– Nie. To człowiek dość skryty, choć potrafi się rozgadać, gdy się do czegoś zapali.

– Bardzo go jestem ciekaw – powiedziałem. – Skoro już mam z kimś mieszkać, to wolałbym z człowiekiem zrównoważonym, o zacięciu naukowca. Brak mi sił na znoszenie hałasów i niepokoju. Tych, które miałem w Afganistanie, starczy mi do końca życia. Jak można się zobaczyć z tym pańskim znajomym?

– Na pewno jest w laboratorium – odparł mój towarzysz. – Albo nie pojawia się w nim całymi tygodniami, albo pracuje od rana do nocy. Jeśli pan chce, możemy tam pojechać zaraz po śniadaniu.

– Dobrze – odparłem i zaczęliśmy mówić o czymś innym.

W drodze do szpitala Stamford podzielił się ze mną paroma bliższymi wiadomościami o moim przyszłym współlokatorze.

– Niech pan nie ma do mnie pretensji, jeśli pan się z nim nie zgodzi – mówił. – Znam go tylko z przypadkowych spotkań w laboratorium. Propozycja wspólnego zamieszkania wyszła od pana i ja nie biorę za to żadnej odpowiedzialności.

– Jeżeli się nie zgodzimy, po prostu możemy się rozejść – odparłem. – Ale coś mi się widzi – dorzuciłem patrząc Stamfordowi prosto w oczy – że woli pan umyć ręce od wszystkiego. O co chodzi? Czy ten Holmes ma taki nieznośny charakter? Niechże pan puści wodze językowi.

– Trudno wyjaśnić coś nieuchwytnego – roześmiał się Stamford. – Jak dla mnie, Holmes ma za silnie rozwiniętą żyłkę naukowca... jego zimnokrwistość jest już cyniczna. Doskonale wyobrażam go sobie dającego swemu przyjacielowi dawkę najnowszego roślinnego alkaloidu, nie ze złej woli, oczywiście, lecz tylko z samej ciekawości badacza, który chce przekonać się, jak działa trucizna. Ale żeby oddać mu sprawiedliwość, dodam, że on sam w tym celu równie łatwo zażyłby truciznę. Ma po prostu pasję do wiedzy ścisłej.

– Cóż, to słuszne.

– Tak, ale u niego już przekracza dopuszczalne granice. Bicie trupa kijem w prosekorium nazwałbym co najmniej cudacznym wybrykiem.

– Bicie trupa!

– Tak. By sprawdzić, jakie siniaki powstają po śmierci. Widziałem to na własne oczy.

– A mówił pan, że Holmes nie studiuje medycyny.

– Nie. Bóg go wie, co on studiuje. Ale już jesteśmy na miejscu i wyrobi pan sobie własne zdanie o Holmesie.

Skręciliśmy w małą uliczkę i wąskimi, bocznymi drzwiami weszliśmy do jednego ze skrzydeł wielkiego szpitala. Znałem ten teren, toteż pewnie szedłem kamiennymi, ponurymi schodami i długim, nie kończącym się korytarzem z bielonymi ścianami i szarobrązowymi drzwiami. Przy jego końcu odbiegało w bok nisko sklepione odgałęzienie, wiodące do laboratorium chemicznego.

Mieściło się ono w obszernym pokoju obstawionym i wypełnionym niezliczoną ilością butli. Tu i tam stały szerokie, niskie stoły, najeżone retortami, probówkami i małymi palnikami Bunsena, płonącymi migotliwym, niebieskim płomieniem.

W laboratorium zastaliśmy tylko jednego człowieka, pochylonego nad odległym stołem i po uszy zatopionego w pracy. Na odgłos naszych kroków obejrzał się i z radosnym krzykiem zerwał się na nogi.

– Mam, mam! – wołał biegnąc ku nam z probówką w ręce. – Odkryłem odczynnik na hemoglobinę, tylko na hemoglobinę.

Gdyby był odkrył żyłę złota, nie cieszyłby się bardziej.

– Doktor Watson, pan Sherlock Holmes – przedstawił nas wzajemnie Stamford.

– Dzień dobry panu – powiedział kordialnie Holmes ściskając moją rękę z siłą, o którą bym go nie posądził. – Jak widzę, wraca pan z Afganistanu.

– Skąd pan to wie, u licha? – zapytałem zdziwiony.

– Mniejsza o to – odparł i zachichotał prawie bezgłośnie. – Mówimy o hemoglobinie. Chyba pan pojmuje, jakie olbrzymie znaczenie ma moje odkrycie?

– Pod względem chemicznym jest ciekawe bez wątpienia – odparłem – ale praktycznie...

– Człowieku! Toż to największy od lat wynalazek w medycynie sądowej. Czy pan nie rozumie, że daje on nam nieomylną próbę krwawych plam? Niech pan tu przejdzie.

W zapale chwycił mnie za rękaw i pociągnął do stołu, przy którym pracował.

– Weźmy trochę świeżej krwi – mówił wbijając sobie długą igłę w palec i wytaczając kilka kropeł krwi do probówki. – Teraz wleję te parę kropeł do litra wody. Widzi pan: roztwór wygląda jak czysta woda. Stosunek nie może być większy jak jeden do miliona, ale mimo tego jestem pewien, że próba się uda.

Mówiąc to wrzucił do naczynia kilka jakichś kryształków, a potem dolał parę kropeł przezroczystego płynu. W jednej chwili woda przybrała ciemnoczerwony kolor, a na dnie naczynia zaczął się zbierać brązowy osad.

– Ha! ha! – wołał Holmes klaszcząc w dłonie i ciesząc się jak dziecko z nowej zabawki. – No i co pan o tym myśli?

– Bardzo subtelna reakcja – zauważyłem.

– Piękna, przepiękna! Dawna metoda przy użyciu gwajakolu była niepewna i niezwykle prymitywna. Tak samo – mikroskopowe badanie na cząsteczki krwi. W dodatku to ostatnie

nie daje już żadnego wyniku przy plamach sprzed paru godzin. Moja zaś metoda jest skuteczna zarówno przy starych, jak przy nowych plamach. Gdyby znano ją już przedtem, setki ludzi, bezkarnie teraz spacerujących po świecie, zapłaciłoby od dawna za swe zbrodnie.

– No, no – mruknąłem pod nosem.

– W kryminalistyce stale mamy do czynienia z tym zagadnieniem. Podejrzewamy kogoś o zabójstwo w kilka miesięcy po wykryciu zbrodni. Badamy bieliznę i ubranie podejrzanego i znajdujemy brązowe plamy. Czy są to ślady błota, rdzy, a może plamy po owocach albo jakieś inne? Niejeden ekspert głowił się nad tym, a dlaczego? Bo nie mieliśmy pewnego sprawdzianu. Teraz mamy sprawdzian Sherlocka Holmesa i zapomnimy o tych trudnościach.

W oczach błyszczała mu radość, rękę przyłożył do serca i skłonił się, jakby odpowiadał na huczne brawa wyimaginowanych tłumów.

– Trzeba panu pogratulować – powiedziałem zaskoczony jego entuzjazmem.

– W zeszłym roku we Frankfurcie głośna była sprawa von Bischoffa. Gdyby wówczas znano mój odczynnik, wisiałby niechybnie. A poza nim Mason z Bradford, osławiony Müller, Lefevre z Montpellier i Samson z Nowego Orleanu. Mogę przytoczyć dziesiątki spraw, w których mój odczynnik odegrałby decydującą rolę.

– Jest pan naprawdę żywym rejestrem zbrodni – roześmiał się Stamford. – Mógłby pan wydawać kryminalną gazetę. Niech ją pan nazwie „Retrospektywne Wiadomości Policyjne”.

– Byłaby to bardzo ciekawa lektura – zauważył Sherlock Holmes zalepiając plastrem ranę na palcu. – Muszę być ostrożny – ciągnął dalej, z uśmiechem zwracając się do mnie – bo wiecznie się grzebię w truciznach.

Wyciągnął rękę i zauważyłem, że pokrywały ją podobne plastry, a naskórek przeżarty był ostrym kwasem.

– Przychodzimy w pewnej sprawie – powiedział Stamford siadając na wysokim stołku o trzech nogach i stopą popychając ku mnie podobny stołek. – Ten oto mój przyjaciel szuka jakiegoś locum. A że się pan niedawno żalił na brak współnika do mieszkania, przyszło mi na myśl, by panów poznać ze sobą.

Sherlock Holmes wydawał się uszczęśliwiony perspektywą zamieszkania ze mną.

– Mam upatrzone mieszkanie na Baker Street – powiedział. – Jak wymarzone dla nas. Czy pan znosi zapach mocnego tytoniu?

– Sam palę machorkę – odpowiedziałem.

– Doskonale. Mam też dużo chemikalii i nieraz robię doświadczenia. Czy to panu nie przeszkadza?

– Absolutnie.

– Hm... zastanówmy się nad moimi dalszymi wadami. Czasem miewam napady chandry i całymi dniami nie odzywam się słowem do nikogo. Niech pan wtedy nie myśli, że się boczę na pana. Trzeba mnie tylko zostawić w spokoju i samo przejdzie. A teraz: co pan powie o sobie? Dobrze jest poznać się z najgorszej strony, gdy się ma razem zamieszkać.

Rozśmieszyło mnie to wzajemne badanie.

– Mam szczeniaka buldoga – powiedziałem – i moje rozhuśtane nerwy nie znoszą hałasu. Wstaję, kiedy mi się podoba, o najbardziej nieprawdopodobnych godzinach, i jestem niezmiernie leniwy. Poza tym mam dużo innych wad, gdy jestem zdrowy, ale w obecnej chwili te są najważniejsze.

– Czy grę na skrzypcach zalicza pan do hałasu? – zapytał Holmes z niepokojem.

– To zależy od grającego – odparłem. – Dobra gra na skrzypcach to ukojenie dla nerwów, gdy zła...

– No to w porządku – wykrzyknął śmiejąc się radośnie. – Sądzę, że możemy uważać sprawę za ubitą... oczywiście, jeżeli mieszkanie będzie panu odpowiadać.

– Kiedy możemy je obejrzeć?

– Niech pan tu wpadnie po mnie jutro w południe. Pójdziemy razem i wszystko załatwimy – odrzekł.

– Świetnie. Jutro w południe – odpowiedziałem wymieniając z nim uścisk dłoni.

Zostawiliśmy Holmesa nad jego pracą w laboratorium i poszliśmy w kierunku mego hotelu.

– Ale, ale – powiedziałem nagle, przystając i zwracając się do Stamforda – skąd on wie, u licha, że wróciłem z Afganistanu?

Mój towarzysz uśmiechnął się zagadkowo.

– To jest właśnie to, co w nim zadziwia – powiedział. – Wielu ludzi chciałoby wiedzieć, jak on dochodzi do podobnych odkryć.

– Aa... tajemnica? – zawołałem zacierając ręce. – To bardzo podniecające. Doprawdy, jestem panu wdzięczny, że pan nas ze sobą zetknął. Wie pan, „Poznając człowieka, poznaje się ludzkość”.

– A więc musi go pan bliżej poznać – powiedział Stamford, żegnając się ze mną. – Nie będzie to łatwe. Założę się, że prędzej on pozna pana, niż pan jego. Do widzenia!

– Do widzenia! – odpowiedziałem i wróciłem do hotelu niezmiernie zaintrygowany nową znajomością.

II. Sztuka dedukcji

Nazajutrz spotkaliśmy się, jak było umówione, i obejrzelśmy mieszkanie przy Baker Street 221 b, o którym Holmes mówił przy naszej pierwszej rozmowie. Mieszkanie składało się z dwóch wygodnych sypialni i jednego wspólnego pokoju, dużego, wesołego, przyjemnie umeblowanego i jasnego dzięki dwóm szerokim oknom. Było tak miłe pod każdym względem, a cena podzielona na pół tak przystępna, że z miejsca dobiliśmy targu i objęliśmy je w posiadanie. Tego samego wieczoru przenieśliśmy moje manatki z hotelu, a Sherlock Holmes wprowadził się z kuframi i walizkami następnego ranka. Ze dwa dni zajęło nam wypakowywanie naszych rzeczy i wygodne urządzenie się na nowym miejscu. Skończywszy z tym, powoli zaczęliśmy zżywać się z nowymi warunkami i otoczeniem.

Holmes był łatwy w pożyciu. Charakter miał dość spokojny i zrównoważony. O dziesiątej przeważnie już leżał w łóżku, a wstawał, jadł śniadanie i wychodził, gdy jeszcze spałem. Czasem całe dni spędzał w laboratorium lub w prosektorium, a niekiedy na długich spacerach – jak się domyślam – po najnudniejszych przedmieściach Londynu. W przystępach pracowitości był niesamowicie czynny, ale od czasu do czasu nachodziło go lenistwo i wówczas wylegiwał się na kanapie w naszym saloniku, nie ruszając palcem od rana do nocy i milcząc jak zakłęty. Spojrzenie wtedy miał tak szkliste, że posądziłbym go o używanie jakiegoś narkotyku, gdyby temu nie przeczył jego umiarkowany i wysoce moralny tryb życia.

Z upływem czasu rosło moje zainteresowanie Holmesem i celem, który sobie w życiu obrał. Już swoim wyglądem musiał przyciągnąć uwagę przypadkowego nawet obserwatora. Wysoki ponad sześć stóp, wydawał się jeszcze wyższy przez swą niezwykłą chudość. Spojrzenie, ostre i przenikliwe, zmieniało się tylko w okresie wspomnianych napadów apatii. Cienki orli nos nadawał jego twarzy wyraz czujny i stanowczy. Podbródek miał wystający i kwadratowy, typowy dla ludzi o mocnym charakterze. Ręce stale splamione były atramentem i chemikaliami, a przecież – jak nieraz mogłem to zauważyć, gdy manipulował przy swych kruchych naukowych narzędziach – dotyk miał czuły i delikatny.

Czytelnik może mnie posądzić o wtykanie nosa w cudze sprawy, kiedy wyznam, jak bardzo Holmes mnie zaciekawiał i że często usiłowałem przeniknąć zasłonięte skrytości, którą się otaczał. Ale przed wydaniem tego wyroku proszę wziąć pod uwagę, że pędziłem wtedy jałowe życie i nie miałem żadnych zainteresowań. Schorowany i słaby, mogłem wychodzić tylko przy pięknej pogodzie, a nie miałem żadnych przyjaciół, którzy by rozerwali mnie odwiedzinami i urozmaicili szarzyznę dnia. W tych warunkach z zapalem chwyciłem się tej niewielkiej tajemnicy, jaka otaczała mego towarzysza, i dużo czasu poświęciłem próbom rozwikłania jej.

Holmes nie studiował medycyny. Odpowiadając na moje pytanie potwierdził tylko opinię Stamforda. Nie czytał systematycznie niczego, co by wskazywało, że ubiega się o jakiś stopień naukowy czy też, że uznaną powszechnie drogą zamierza wejść w grono uczonych. Jednakże jego zamiłowanie do niektórych gałęzi wiedzy było zastanawiające, a posiadane wiadomości, z dość zresztą dziwnych dziedzin, tak rozległe i dokładne, że wprawiło mnie to w zdumienie. Żaden człowiek na świecie nie pracowałby tak bardzo i nie zdobyłby aż tylu szczegółowych wiadomości, gdyby mu nie przyświecał jakiś cel. Ludzie czytający chaotycznie rzadko kiedy zdobywają konkretne wiadomości. Nikt nie będzie obarczał umysłu drobiazgami; chyba że go do tego skłaniają poważne powody.

Ale nie mniej zastanawiająca była też ignorancja Holmesa. Na literaturze współczesnej, filozofii i polityce nie znał się prawie wcale. Gdy mu zacytowałem Tomasza Carlyle'a³, zapytał naiwnie, kto to był i czego dokonał. Ale moje zdumienie doszło do zenitu, gdy wypadkowo odkryłem, że nic nie słyszał o teorii Kopernika i o systemie słonecznym. Wprost nie mieściło mi się w głowie, że cywilizowany człowiek w dziewiętnastym wieku może nie wiedzieć, iż ziemia obraca się wokół słońca!

– Wydaje się pan zaskoczony – rzekł Holmes uśmiechając się na widok mej zdziwionej miny. – Teraz, kiedy już wiem, postaram się jak najprędzej o tym zapomnieć.

– Zapomnieć!

– Widzi pan – tłumaczył mi – uważam, że umysł ludzki to pusty pokoik, który powinno się umeblować według własnego wyboru. Szalencieć wpakuje weń wszystkie napotkane graty, a naprawdę mu potrzebne pozapycha gdzieś po kątach albo w najlepszym razie pomiesza z innymi i nigdy nie będzie ich miał pod ręką. Natomiast wytrawny rzemieślnik na polu pracy umysłowej przebiera w tym, co pcha do mózgu. Nie chce on niczego prócz potrzebnych mu narzędzi, ale te za to ma w pełnym komplecie i we wzorowym porządku. Popełniamy błąd myśląc, że ten mały pokoik ma elastyczne ścianki i że da się go do woli poszerzać. Jeśli na to liczymy, przyjdzie dzień, kiedy okaże się, że przez jakąś dodatkową wiedzę zapomnieliśmy czegoś ongi dobrze znanego. Dlatego niesłuchanie ważne jest, żeby nie dać niepotrzebnym wiadomościom wypchnąć potrzebne.

– Dobrze, ale układ słoneczny...

– A cóż on mnie obchodzi! – niecierpliwie przerwał mi Holmes. – Twierdzi pan, że kręcimy się dookoła słońca. Dla mnie i dla mojej pracy byłoby to obojętne, gdybyśmy się obracali nawet koło księżyca.

Na końcu języka już miałem pytanie, co to jest za praca, ale coś w jego zachowaniu ostrzegło mnie, że wzięłyby mi je za złe. Zastanowiłem się jednak nad tą wymianą zdań i próbowałem z niej coś wywnioskować. Powiedział, że nie dba o wiadomości, które nie dotyczą jego pracy. A zatem to, co wie, musi się z nią ściśle łączyć. Wyliczyłem sobie w pamięci wszystkie dziedziny wiedzy, w których był wyjątkowo mocny. Wziąłem nawet ołówek i spisałem je. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu, gdy po skończeniu spojrzałem na spis. Oto on:

Sherlock Holmes – zakresy jego wiedzy:

- 1 Znajomość literatury – żadna;
- 2 „ filozofii – żadna;
- 3 „ astronomii – żadna;
- 4 „ polityki – słaba;
- 5 „ botaniki – niejednolita. Dobra w belladonie, opium i wszystkich truciznach. Żadna w praktycznym ogrodnictwie;
- 6 „ geologii – praktyczna, lecz ograniczona. Od jednego rzutu oka rozpoznaje gleby. Gdy wracałem ze spacerów, pokazywał plamy na moich spodniach i z koloru określał, z jakich dzielnic Londynu pochodzą;
- 7 „ chemii – głęboka;
- 8 „ anatomii – poprawna, choć nie usystematyzowana;
- 9 „ literatury kryminalnej – zadziwiająca. Zna chyba każdy szczegół zbrodni, jakie popełniono w tym wieku;
- 10 Dobrze gra na skrzypcach;
- 11 Jest doświadczonym zapaśnikiem w walce na kije, bokserem i szermierzem;
- 12 Dobrze orientuje się w brytyjskim prawie.

³ Tomasz C a r l y l e (1795–1881) – szkocki pisarz i historyk.

Kiedy doszedłem do tego miejsca, zdesperowany, wrzuciłem moją listę w ogień i pograżyłem się w myślach.

Gdybym mógł odkryć, do czego ten człowiek zmierza, jak godzi ze sobą wszystkie wiadomości i do czego są mu one potrzebne!... A może dać sobie z tym spokój...

Napomknąłem o jego grze na skrzypcach. Ta gra była godna uwagi, ale równie dziwaczna jak wszystko co Holmes robił. Mogę powiedzieć, że dobrze radził sobie z trudnymi rzeczami i miał dość duży repertuar, bo nieraz na moją prośbę grał mi pieśni Mendelsohna i inne ogólnie lubiane utwory. Ale pozostawiony samemu sobie rzadko kiedy grał znane melodie, czy uciekał się w ogóle do muzyki. Wieczorem, odchylony w fotelu, siedział z zamkniętymi oczami i niedbale wodził smyczkiem po strunach skrzypiec leżących w poprzek kolan. Czasem wydobywał z nich tony dźwięczne i melancholijne, czasem – fantastyczne i wesołe. Odzwierciedlały one jego myśli, ale absolutnie nie mogłem określić, czy dopomagały mu w rozmyślniach, czy też były odbiciem chwilowego nastroju. Na pewno bym zaprotestował przeciw tym drażniącym popisom, gdyby nie to, że zawsze kończyły się one całą serią szybko następujących po sobie, moich ulubionych utworów, odegranych jako rekompensata za próbę nerwów.

W pierwszym tygodniu naszego wspólnego zamieszkania nikt nas nie odwiedzał i już począłem myśleć, że mój towarzysz jest równie samotny jak ja. Ale okazało się, że ma rozległe znajomości, i to w różnych sferach. Trzy czy cztery razy w jednym tygodniu przyszedł do niego pewien niski, bladej, ciemnooki pan o lisiej twarzy, którego mi przedstawiono jako pana Lestrade'a. Pewnego ranka zajrzała młoda, szykowna dziewczyna i siedziała u Holmesa z pół godziny albo i więcej. Tego samego popołudnia odwiedził go szpakowaty zaniedbany jegoć, przypominający żydowskiego przekupnia i zdradzający niezwykle zdenerwowanie, a zaraz po nim przyszła jakaś niechlujna, starsza kobieta. Kiedy indziej starszy, siwy pan przybył na dłuższą rozmowę, a znów innym razem zajął mego współtowarzysza tragarz kolejowy w welwetowym mundurze. Przy ukazaniu się takiej bliżej nieokreślonej osobistości Holmes prosił mnie, by mu pozostawić bawialnię; zabierałem się więc i odchodziłem do swej sypialni. Holmes za każdym razem tłumaczył się przede mną: „Muszę użyć tego pokoju jako gabinetu, bo to są moi klienci”. Znów nadarzała się okazja, by go zapytać prosto z mostu, czym się zajmuje, ale znowu delikatność nie pozwoliła mi się wtrącać w cudze sprawy. Przypuszczałem, że Holmes dla jakichś ważkich przyczyn, nie chce się zdradzić, ale niebawem on sam, z własnej woli, rozwiązał moje podejrzenia.

W dniu czwartego marca, a mam powody, by dobrze pamiętać tę datę, wstałem nieco wcześniej i zastałem Holmesa przy śniadaniu. Nasza gospodyni tak się już przyzwyczaiła do mojego późnego wstawania, że nie nakryła dla mnie ani nie przygotowała kawy. Z niczym nie usprawiedliwionym rozdrażnieniem, właściwym rodowi ludzkiemu, zadzwoniłem i krótko powiadomiłem ją, że już jestem. Potem wziąłem ze stołu jakieś czasopismo i spróbowałem skrócić sobie czas czytaniem. Holmes w milczeniu chrupał grzanekę. Jeden z artykułów w czasopiśmie był zakreślony i oczywiście zacząłem od niego.

Zaznaczony artykuł nosił nieco pretensjonalny tytuł: „Księga życia”, a jego autor starał się wykazać, że człowiek spostrzegawczy może się wiele dowiedzieć, systematycznie i uważnie obserwując otoczenie. W artykule uderzyło mnie przedziwne pomieszanie bystrości i absurdu. Rozumowanie było ścisłe i żywe, lecz wnioski wydawały się naciągane i przesadne. Autor twierdził, że z przelotnego wyrazu twarzy, grymasu czy spojrzenia można wyczytać najtajniejsze myśli. Utrzymywał, że wytrawny i przenikliwy obserwator nie da się niczym zwieść. Jego wnioski będą równie niezawodne jak twierdzenia Euklidesa, a wyniki, do których dojdzie, wydadzą się nie wtajemniczonym tak zadziwiające, że dopóki nie poznają jego metody, uważać go będą za czarownika.

„Z istnienia kropli wody – pisał autor artykułu – logicznie rozumujący człowiek wydedukuje możliwość istnienia Oceanu Atlantyckiego czy Niagary, choć nigdy ich nie widział ani o nich słyszał. Całe życie to jeden wielki łańcuch, którego istotę możemy poznać po jednym

ogniowie. Tak jak wszystkie inne sztuki, wiedza dedukcji i analizy daje się osiąść tylko po długich i cierpliwych studiach, a życie ludzkie jest za krótkie, by zwykły śmiertelnik mógł w niej dojść do doskonałości. Zanim sięgnie się do najtrudniejszych zagadnień natury moralnej i rozumowej, adept tej sztuki winien zacząć od prostszych problemów. Przy spotkaniu z bliźnim niech się stara od pierwszego wejrzenia odgadnąć jego zawód i koleje losu. Choć takie ćwiczenie może się wydać dziecinne, zaostrza ono spostrzegawczość i uczy, na co patrzeć. Z paznokci, z rękawów marynarki, z butów, spodni na kolanach, ze zgrubienia naskórka na palcach wskazującym i wielkim, z miny i z mankietów koszuli – z każdej z tych rzeczy można jasno odczytać zawód człowieka. Trudno sobie wyobrazić, by te połączone cechy mogły zwieść wprawnego obserwatora”.

– Cóż to za androny! – wykrzyknąłem ciskając z rozmachem pismo na stół. – Nigdy jeszcze nie czytałem podobnych bzdur.

– O co chodzi? – zapytał Sherlock Holmes.

– O ten artykuł – odparłem i zabierając się do jajek na miękko, wskazałem łyżką pismo. – Z podkreślenia widzę, że pan go czytał. Nie przeczę, że jest żywo napisany. Lecz mimo to mnie złości. Niewątpliwie pisał go jakiś teoretyk, który w wygodnym fotelu i zaciszu swego gabinetu płodzi zręczne paradoksy. To nie ma nic wspólnego z życiem. Chciałbym go zobaczyć na ławce trzeciej klasy kolei podziemnej, udzielającego wyjaśnień o zawodach wszystkich współpodróżnych. Założę się o tysiąc funtów, że niczego nie powie trafnie.

– I przegra pan – spokojnie powiedział Holmes. – A artykuł ja pisałem.

– Pan?!

– Tak, ja. Mam dar zarówno obserwacji, jak i dedukcji. Poglądy, które tu wyraziłem i które wydają się panu tak utopijne, w gruncie rzeczy są niezwykle praktyczne... tak dalece praktyczne, że żyję z nich.

– W jaki sposób? – zapytałem mimo woli.

– Mam swój własny zawód. Myślę – jedyny na świecie. Jestem detektywem-doradcą, jeśli pan wie, co to znaczy. Tu, w Londynie, mamy bardzo wielu detektywów rządowych i nie-mniejszą ilość – prywatnych. Gdy zgubią się w jakiejś sprawie, przychodzą do mnie, a ja n-prowadzam ich na właściwy ślad. Wtajemniczają mnie we wszystkie fakty i zwykle udaje mi się, dzięki znajomości historii zbrodni, wskazać im prawidłową drogę. Wszystkie przestępstwa mają jakieś „rodzinne” podobieństwo i gdy się zna jak własne pięć palców szczegóły tysiąca zbrodni, dziwnym by było nie rozwikłać tysiąc pierwszej. Lestrade to znany detektyw, ale ostatnio utknął przy sprawie fałszerstwa i dlatego przyszedł do mnie.

– A ci inni ludzie?

– Przeważnie przysyłają ich agencje prywatne.

Wszyscy popadli w jakieś kłopoty i pragną, by im coś niecoś wyjaśnić. Ja wysłuchuję ich historii, oni – moich komentarzy i inkasują honorarium.

– Mówi pan – rzekłem – że nie opuszczając swego pokoju potrafi pan rozwikłać zagadkę, z którą inni nie mogą sobie poradzić, choć osobiście i na miejscu zetknęli się ze wszystkimi szczegółami?

– Tak. Mam pod tym względem jakąś intuicję. Od czasu do czasu nawinie mi się sprawa bardziej skomplikowana, wtedy muszę się raźniej zakrzętnąć i zobaczyć wszystko na własne oczy. Widzi pan, mam spory zasób specjalnych wiadomości, które puszczam w ruch, co znakomicie ułatwia mi zadanie. Te zasady dedukcji wyłuszczone w artykule, który zasłużył sobie na pańską pogardę, są dla mnie nieocenione w mej pracy. Obserwacja to moja druga natura. Wydawał się pan zaskoczony, gdy przy pierwszym naszym spotkaniu powiedziałem, że wraca pan z Afganistanu.

– Musiano panu o tym powiedzieć.

– Nic podobnego. Ja wiedziałem, że pan wraca z Afganistanu. Wytrenowane myśli tak szybko biegną, że dochodzę do pewnego wniosku sam nie wiedząc jak i kiedy. Ale pośrednia

droga oczywiście istnieje. W pańskim przypadku te pośrednie etapy tak wyglądały: Oto typ lekarza, lecz z wojskowym zacięciem. A więc – lekarz wojskowy. Musiał przybyć z południa, bo jest bardzo śniady, a ta śniadość nie jest naturalną barwą skóry, kostki u rąk bowiem ma białe. Jego twarz wyraźnie mówi o przebytych trudach i chorobie. Jest ranny w lewą rękę, gdyż trzyma ją nienaturalnie i sztywno. Gdzież pod równikiem angielski lekarz wojskowy mógł wycierpieć wiele trudów i zostać ranny w rękę? Oczywiście w Afganistanie. Nie zajęło mi to nawet sekundy. I wtedy powiedziałem, że wrócił pan z Afganistanu, co bardzo pana zdziwiło.

– Wszystko to brzmi bardzo prosto – powiedziałem z uśmiechem. – Przywodzi mi pan na myśl Dupina z opowiadania Edgara Allana Poe. Nawet nie przypuszczałem, że takie postacie mogą istnieć w życiu.

Sherlock Holmes wstał i zapalił fajkę.

– Sądzi pan, zapewne, że pochlebia mi porównanie z Dupinem? Ja jednak myślę, że był on dość miernym typem. Ten jego trick, gdy po kwadransie milczenia wdiera się trafną uwagą w myśl przyjaciela, jest bardzo efektowny, ale i powierzchowny. Niewątpliwie miał on genialne zdolności analityczne, ale nie był takim fenomenem, jak Poe sobie wyobrażał.

– Czytał pan powieść Gaboriau? – zapytałem. – Czy Lecoq odpowiada pańskiemu pojęciu o detektywie?

Sherlock Holmes uśmiechnął się ironicznie.

– Lecoq był nędznym partaczem – powiedział gniewnie. – Miał tylko jedną dobrą stronę – energię. Niedobrze mi się robi, kiedy czytam tę książkę. Chodziło o to, jak zidentyfikować nieznanego więźnia. Ja uporałbym się z tym w dwadzieścia cztery godziny. Lecoq potrzebował sześciu miesięcy czy coś w tym rodzaju. Można by z tego ułożyć podręcznik dla detektywów, jak unikać błędów.

Trochę mnie dotknął pogardliwy sposób, w jaki Holmes skrytykował moich dwóch ulubionych bohaterów. Stałem przed oknem i patrzyłem na ruchliwą ulicę.

Może to i niegłupi facet – pomyślałem – ale niesłuchanie zarozumiały.

– Dziś już nie ma prawdziwych zbrodni ani wytrawnych zbrodniarzy – mówił Holmes z czepnie. – W naszym zawodzie rozum przestał być potrzebny. Wiem, że mam go dosyć, by stać się sławnym. Jeszcze nikt na świecie, czy to teraz czy dawniej, nie włożył tyle naukowej pracy i tyle wrodzonego talentu w sztukę kryminalnej dedukcji, co ja. I z jakim wynikiem? Nie ma żadnej zagadkowej zbrodni do wyjaśnienia poprzez dedukcję. Najwyżej jakieś mierne partactwo o motywach tak przejrzystych, że byle urzędnik ze Scotland Yardu je odgadnie.

Złościła mnie ta bezgraniczna pewność siebie. Wołałem więc zmienić temat.

– Ciekaw jestem, czego szuka ten jegomość – powiedziałem wskazując na krzepkiego mężczyznę, ubranego z prostacka, który szedł wolno drugą stroną ulicy i z zafrasowaną miną patrzył na numery domów. W rękę trzymał dużą, niebieską kopertę, którą najwidoczniej niósł do kogoś.

– Myśli pan o tym dymisjonowanym sierżancie piechoty morskiej? – zapytał Sherlock Holmes.

Samochwał i blagier – zdecydowałem. – Wie, że nie mogę tego sprawdzić.

Ledwie zdążyłem to pomyśleć, gdy obserwowany przez nas człowiek zobaczył numer nad drzwiami naszego domu i przebiegł jezdnię. Usłyszeliśmy gromkie stukanie do drzwi, basowy głos dolatujący z parteru i ciężkie kroki na schodach.

– Do pana Sherlocka Holmesa – powiedział mężczyzna wchodząc do pokoju i podając list memu przyjacielowi.

Trafiła mi się okazja przyłapania Holmesa. Nie pomyślał o tym, gdy na chybił trafił wysnuł swe wnioski.

– Pozwoli pan, mój przyjacielu, że zapytam, czym pan jest z zawodu – powiedziałem najuprzejmiej.

- Posłańcem, proszę pana – odparł szorstko – mundur jest w naprawie.
- A czym pan był przedtem? – pytałem dalej z tajoną złościwością, spoglądając na mojego towarzysza.
- Sierżantem, panie. W królewskiej piechocie morskiej. Nie będzie odpowiedzi? Rozkaz! Trzasnął obcasami, zasalutował i wyszedł.

III. Tajemnica Lauriston Gardens

Przyznaję, że oszołomił mnie ten nowy dowód praktycznej przydatności poglądów mego współlokatora. Mój szacunek do jego analitycznych talentów znacznie wzrósł. W głębi duszy kryłem jednak podejrzenie, że ukartował tę całą historię, by mnie zadziwić, chociaż nie mogłem pojąć, na co by mu się to zdało. Gdy spojrzałem na niego, skończył właśnie czytać. Wzrok miał szklany i nieprzytomny jak zawsze w chwilach zadumy.

– Jakże, u licha, pan to wywnioskował?! – zawołałem.

– Wywnioskowałem, co? – spytał niecierpliwie.

– No to, że jest dymisjonowanym sierżantem piechoty morskiej.

– Nie mam czasu na głupstwa – odparł ostro. I po chwili dorzucił z uśmiechem: – Proszę mi wybaczyć moje rozdrażnienie. Przerwał mi pan tok myśli. Ale może to i lepiej. A więc nie mógłby pan poznać, że to dawny sierżant piechoty morskiej?

– Nie, w żadnym wypadku.

– Łatwiej było wtedy wiedzieć, niż teraz wyjaśnić, skąd wiedziałem. Może i panu byłoby trudno wytłumaczyć, że dwa razy dwa to cztery, choć pan wie to na pewno. Nawet przez ulicę mogłem dostrzec wielką, niebieską kotwicę wytatuowaną na jego ręce. To pachniało morzem. Miał żołnierską postawę i regulaminowe bokobrody. A zatem marynarz. Cechowało go poczucie własnej godności i coś rozkazującego w twarzy. Musiał pan chyba widzieć, jak trzymał głowę i jak machał laską. Zrównoważony, budzący respekt mężczyzna, do tego w średnim wieku... to wszystko powiedziało mi, że był sierżantem.

– Nadzwyczajne! – wykrzyknąłem.

– Nic wielkiego – powiedział Holmes, jednak widać było po nim, że radował go mój zachwyty i zdziwienie. – Przed chwilą powiedziałem, że teraz nie ma już prawdziwych zbrodniarzy. Zdaje się, że się myliłem... Niech pan spojrzy!

Podał mi list przyniesiony przez posłańca.

– Niemożliwe! – wykrzyknąłem przebiegając list oczami. – To straszne!

– W każdym razie niepowszednie – spokojnie zauważył Holmes. – Czy zechce pan przeczytać mi list głośno?

Oto, co przeczytałem:

S z a n o w n y p a n i e!

W nocy wydarzyła się brzydka historia na Lauriston Gardens nr 3, niedaleko Brixton Road. Policjant w czasie obchodu zobaczył tam światło około drugiej w nocy, wydało mu się to podejrzane, bo wiedział, że dom stoi pustką. Drzwi znalazł otwarte, a we frontowym pokoju, zupełnie pustym, ujrzał zwłoki dobrze ubranego mężczyzny. W kieszeni trupa znalazł wizytówkę z nazwiskiem „Enoch J. Drebber, Cleveland, Ohio. USA”. Nic nie wskazuje na mord rabunkowy, nie można też ustalić przyczyny zgonu. W pokoju są ślady krwi, ale na ciele nie ma żadnych ran. Zupełnie nie rozumiemy, jak zmarły dostał się do pustego domu. Cała sprawa jest bardzo zagadkowa. Gdyby się pan tu wybrał, zastanie mnie pan na miejscu do dwunastej. Wszystko pozostawię tak, jak było, i niczego nie ruszę, zanim nie otrzymam od pana wiadomości. Gdyby pan nie mógł przyjść, przedstawię panu wszystkie fakty bardziej szczegółowo, bo radbym wysłuchać pańskiej opinii.

Z poważaniem
Tobiasz Gregson

– Gregson jest najrzęczniejszym detektywem Scotland Yardu – zauważył Holmes. – On i Lestrade to najlepsi ze złych. Obaj są energiczni i szybcy w działaniu, ale diabelnie zrutynizowani. A poza tym mają ze sobą na pieńku. Są tak o siebie zazdrośni jak dwie piękne kobiety. Będzie z czego się pośmiać, jeśli ich obu zaprzęgnięto do tej sprawy.

Dziwiła mnie beztroska gadanina Holmesa.

– Szkoda każdej chwili! – zawołałem. – Czy kazać wezwać dorożkę?

– Nie wiem, czy mam tam jechać. Chyba nie było na świecie większego lenia ode mnie... to znaczy, gdy przyjdzie na mnie taka chwila, bo czasem potrafię być dość czynny.

– Czekał pan przecież na podobną okazję!

– Jakież to dla mnie może mieć znaczenie? Przypuśćmy, że rozwikłałam zagadkę. Może pan być pewien, że wtedy cała zasługa przypadnie Gregsonowi, Lestrade'owi i kompanii. Wynika to z tego, że nie jestem żadną urzędową osobą.

– Ale on prosi pana o pomoc.

– Tak. Wie, że jestem mądrzejszy od niego i w cztery oczy to przyznaje. Lecz prędzej odgryzie sobie język, niż to powie przy kimś trzecim. Możemy jednak tam pojechać i zobaczyć, o co chodzi. Zajmę się tą sprawą dla własnej satysfakcji. Przynajmniej zabawię się ich kosztem. Jedziemy!

Szybkim ruchem naciągnął palto i w nagłym przyplywie energii, która widocznie wzięła górę nad apatią, szykował się do wyjścia.

– Proszę wziąć kapelusz, doktorze – powiedział.

– Chce pan, żebym też pojechał?

– Tak, jeśli nie ma pan nic lepszego w planie.

W chwilę potem siedzieliśmy już w dorożce i pędziliśmy jak szaleni na Brixton Road.

Ranek był mglisty i pochmurny. Nad dachami domów zawisa szarobura zasłona – jakby odbicie brudnych ulic w dole. Mój towarzysz był w wyśmienitym humorze i w najlepsze rozgadał się o skrzypcach z Cremony⁴ i o różnicy między Stradivariusem⁵ i Amatim⁶. Ja zaś siedziałem w milczeniu pod przykrym wrażeniem pogody i ponurej zagadki, która nas czekała.

– Pan jakoś wcale nie przejmuje się tą sprawą? – przerwałem wreszcie muzyczne wywody Sherlocka Holmesa.

– Nie mam jeszcze żadnych danych – odpowiedział – a wszelkie teoretyczne rozważania przed zapoznaniem się z faktami uważam za kapitalny błąd. To wypacza ocenę.

– Zaraz już pan będzie miał swoje dane – zauważyłem i wskazałem palcem: – oto Brixton Road, a tu, jeśli się nie mylę, mamy dom, którego szukamy.

– Tak. Racja. Hej, proszę stanąć! – zawołał Holmes do dorożkarza i choć byliśmy co najmniej o sto jardów od celu, uparł się, aby wysiąść. Poszliśmy więc dalej pieszo.

Dom numer 3 na Lauriston Gardens wyglądał ponuro i groźnie. Był jednym z czterech budynków nieco cofniętych od ulicy, z których dwa były zamieszkane, a dwa stały pustką. Te ostatnie spoglądały trzema rzędami melancholijnie pustych okien, bezdusznych i posepnych, tu i tam rozjaśnionych tylko kartką z napisem „Do wynajęcia”, niby kataraktą na zmatowiałej szybie. Niewielki ogródek, z wypryskami rachitycznej roślinności tu i ówdzie, oddzielał każdy z tych domów od ulicy, a wąska, żółtawa ścieżka, mieszanina gliny ze żwirem, przecinała go w poprzek. Po nocnym deszczu grunt zamienił się w błoto. Trzystopowy ceglany mur, uwieńczony drewnianymi sztachetami, opasywał te ogródki. O ten mur opierał się teraz krzepki policjant otoczony grupką gapiów, którzy wyciągali szyje i wyteżali wzrok, na próżno starając się dojrzeć, co się dzieje w środku.

⁴ C r e m o n a – miasto we Włoszech. W XVI, XVII i XVIII wieku wyrabiano tu słynne skrzypce.

⁵ Antonio S t r a d i v a r i (1644 – 1737) – słynny mistrz lutniczy z Cremony, zwany popularnie Stradivariusem.

⁶ Nicolo A m a n t i (1596 – 1648) – słynny mistrz lutniczy z Cremony, nauczyciel Stradivariusa.

Wyobrażałem sobie, że Holmes z miejsca pośpieszy do domu i cały odda się wyjaśnieniu tajemnicy. Ale w rzeczywistości był on bardzo daleki od tego. Z niedbałą miną, która w moim mniemaniu w tych warunkach graniczyła z pozą, przechadzał się wzdłuż chodnika, obojętnie przyglądał się ziemi, niebu, przeciwnym domom i sztachetom. Gdy z tym skończył, poszedł wolno, nie odrywając oczu od ziemi, ścieżką, a raczej jej obrzeżem z trawy. Dwa razy przystanął, a raz widziałem, że się uśmiechnął, i słyszałem, jak coś wykrzyknął z zadowoleniem. Na błotnistym, wilgotnym gruncie pełno było śladów stóp. Nie pojmowałem jednak, co Holmes mógł tam dostrzec, skoro się zważy, że policjanci przeszli tamtędy parokrotnie. Ale że dał mi już niezwykle dowody swej przenikliwości, ufałem, że widzi tam coś, czego ja nie widzę.

Przy drzwiach domu powitał nas wysoki, bladolicy, jasny blondyn z notesem w ręku. Wybiegł na nasze spotkanie i wylewnie uściskał dłoń mego przyjaciela.

– To bardzo ładnie, że pan przyjechał – powiedział. – Nie pozwoliłem niczego dotknąć.

– Z wyjątkiem tego – odpowiedział Holmes wskazując na ścieżkę. – Stado bawołów nie narobiłoby większego mętliku. Ale niewątpliwie wyciągnął pan potrzebne wnioski, panie Gregson, nim pan na to zezwolił?

– Miałem dużo roboty wewnątrz domu – wymijająco odparł detektyw. – Jest tu ze mną kolega Lestrade. Byłem pewien, że on to zrobi.

Holmes spojrział na mnie i uniósł brwi ironicznie.

– Przy dwóch takich ludziach, jak pan i Lestrade, trzeci nie znajdzie pola do popisu – rzekł.

Gregson z zadowoleniem zatarł ręce.

– Myślę, że zrobiliśmy wszystko, co tylko można – oświadczył. – To jednak dziwna sprawa, a wiem, że pan takie lubi.

– Przyjechał pan dorożką? – zapytał Sherlock Holmes.

– Nie.

– I Lestrade też nie?

– I Lestrade nie.

– Chodźmy więc obejrzeć pokój.

Zakończywszy rozmowę tak niekonsekwentnym zdaniem, Holmes wszedł do domu, a Gregson z wielce zdziwioną miną podążył za nim.

Krótki korytarz z zakurzoną, drewnianą podłogą wiódł do kuchni i służbowych pokoi. Dwoje drzwi wychodziło na lewo i na prawo. Jedne musiały być zamknięte od tygodni, drugie prowadziły do jadalni, pokoju, który był sceną tajemniczej zbrodni. Holmes wszedł tam, a ja poszedłem za nim z tym dziwnym uczuciem, które ogarnia mnie zawsze w obliczu śmierci.

Jadalnia była duża, kwadratowa, a przez absolutny brak mebli wydawała się jeszcze większa. Wulgarne, jaskrawe tapety zdobiły ściany. Gdzieś widać było na nich wielkie plamy wilgoci, a tu i tam papier całymi pasami zwisał w dół, obnażając żółty tynk. Na wprost drzwi rzucał się w oczy kominek, a nad nim gzyms z imitacji marmuru. Na jednym rogu sterczał przylepiony ogarek świecy z czerwonego wosku. W mdłym świetle, wpadającym przez brudne szyby jedyne okna, wszystko wydawało się szare, a gruby pokład kurzu jeszcze potęgował to wrażenie.

Ale te szczegóły zauważyłem dopiero potem. Moją uwagę zajęła przede wszystkim straszna, nieruchoma postać na deskach podłogi, nie widzącymi, szklanymi oczami wpatrzona w bezbarwny sufit. Był to mężczyzna w wieku lat czterdziestu trzech lub czterech, średniego wzrostu, barczysty, z czarnymi kędzierzawymi włosami i krótką, szczeciniastą brodą. Na sobie miał surdut z pierwszorzędnego czarnego sukna, kamizelkę i szare spodnie. Kołnierzyk i mankiety jego koszuli były nieskazitelnej białości. Cylinder, wyszczotkowany i wypieszczony, leżał przy nim. Nieboszczyk zacisnął ręce, rozrzucił ramiona, nogi podkurczył i złączył mocno, jakby po rozpaczliwej walce o życie. Na twarzy zastygł mu wyraz przerażenia i na-

wet, tak mi się wydawało, nienawiści, jakiej nigdy jeszcze u nikogo nie widziałem. Ten zły i straszny grymas w połączeniu z niskim czołem, tępym, spłaszczonym nosem i wystającą szczęką upodabniał go do małpy, a nienaturalna, skurczona pozycja jeszcze bardziej zwiększała to podobieństwo. Stykałem się już ze śmiercią w jej najrozmaitszych postaciach, ale żadna nie wydała mi się tak odrażająca jak ta, w tym mrocznym, ponurym mieszkaniu, tuż przy jednej z najgłówniejszych przedmiejskich arterii Londynu.

Lestrade, chudy, jak zawsze przypominający łasicę, stał przy drzwiach i przywitał się z Holmesem i ze mną.

– Ta sprawa narobi szumu, proszę pana – powiedział. – Przekracza wszystko, co widziałem, a przecież nie jestem niemowłkiem przy piersi.

– Nie ma jeszcze żadnej wskazówki? – zapytał Gregson.

– Najmniejszej – tym samym tonem odpowiedział Lestrade.

Sherlock Holmes podszedł do zwłok, przyklęknął i zbadał je dokładnie.

– Jesteście, panowie, pewni, że nie ma żadnych obrażeń? – zapytał wskazując palcem na liczne plamy i ślady krwi dookoła.

– Najzupełniej pewni! – jednocześnie wykrzyknęli detektywi.

– A więc ta krew to krew drugiego osobnika, przypuszczalnie mordercy, jeżeli w ogóle zachodzi tu morderstwo. Ten wypadek przypomina mi okoliczności, które towarzyszyły śmierci van Jansena w Utrechcie w 1834 roku. Pamięta pan tę sprawę, panie Gregson?

– Nie, proszę pana.

– Niech się pan z nią zapozna, naprawdę... powinien pan. Nie ma nic nowego pod słońcem. Wszystko to już było.

Gdy mówił, jego zręczne, ruchliwe palce biegały tu i tam. Obmacywały, naciskały, rozpięły guziki przy ubraniu zmarłego, badały wszystko, podczas gdy nieobecny wzrokiem błędził w przestrzeni, jak już to nieraz u niego widziałem. Palce migały tak szybko, że trudno było dostrzec dokładnie ich ruch. W końcu Holmes powąchał wargi zmarłego i spojrzał na zelówki jego lakierków.

– Nie ruszaliście zwłok? – zapytał.

– Tylko tyle, ile wymagało śledztwo.

– Możecie je zabrać do prosektorium – powiedział. – Niczego się już tu nie dowiemy.

Gregson miał w pogotowiu czterech ludzi, którzy na jego zawołanie ułożyli na noszach zwłoki nieznanego i wynieśli je z pokoju. Gdy podnosili ciało, wyleciała skądś obrączka i z brzękiem potoczyła się po podłodze. Lestrade błyskawicznie ją pochwycił i zaczął się jej przyglądać osłupiałymi ze zdziwienia oczami.

– Kobięca obrączka! – zawołał pokazując ją nam na wyciągniętej dłoni.

Skupiliśmy się przy nim i patrzyliśmy na złote kółeczko. Nie było żadnej wątpliwości, że zdobiło ono kiedyś rączkę panny młodej.

– Kobieta znacznie komplikuje zagadnienie – powiedział Gregson. – A Bóg mi świadkiem, że i tak było dość skomplikowane.

– A nie sądzi pan, że je upraszcza? – zauważył Holmes. – Z gapienia się nic nam nie przyjdzie. Co nieboszczyk miał w kieszeniach?

– Tu leży wszystko – Gregson wskazał na kupkę przedmiotów. – Złoty zegarek N 97163 firmy Barraud w Londynie. Złoty łańcuszek do zegarka, ciężki i masywny. Złoty pierścień z masońskimi emblematami. Złota szpilka do krawata z główką buldoga i rubinami w miejsce oczu. Portfelik z rosyjskiej skóry na bilety wizytowe Enocha J. Drebbra z Cleveland, co zgadza się z literami E. J. D. na bieliźnie. Portmonetki nie było, a pieniądze – razem siedem funtów i trzynaście szylingów – nieboszczyk nosił luzem. Poza tym kieszonkowe wydanie „De-kamera” Boccaccia, z nazwiskiem „Józef Stangerson” na pierwszej karcie. No i dwa listy: jeden do E. J. Drebbra i jeden do Józefa Stangersona.

– Na jaki adres?

– Do „American Exchange” Strand, do odebrania. Oba z Towarzystwa Okrętowego Guion. Dotyczą odjazdu statków z Liverpoolu. Jasne jest, że ten biedak lada dzień miał ruszyć w powrotną drogę do Nowego Jorku.

– Czy już szukacie, panowie, tego Stangersona?

– Od pierwszej chwili, proszę pana – odparł Gregson. – Dałem ogłoszenie do wszystkich gazet, a jednego z moich ludzi posiałem do „American Exchange”, tylko jeszcze nie wrócił.

– Czy telegrafowaliście do Cleveland?

– Dziś z samego rana.

– A o co pytaliście?

– Po prostu opisaliśmy w krótkich słowach wypadek i prosiliśmy o jakieś informacje, które by się nam mogły przydać.

– Czy nie pytał pan o żadne szczegóły związane z jakimś punktem, który wydaje się panu zasadniczy?

– Pytałem o Stangersona.

– I to wszystko? Czy nie widzi pan tu nic, wokół czego obracałaby się cała sprawa? Nie będzie pan telegrafował po raz drugi?

– Powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia – urażonym tonem odparł Gregson.

Sherlock Holmes zachichotał i już chciał coś odpowiedzieć, kiedy Lestrade, który pozostał we frontowym pokoju, gdy myśmy rozmawiali w hallu, pojawił się w drzwiach. Minę miał napuszoną i zacierał ręce z ukontentowania.

– Panie Gregson – powiedział. – Tylko co zrobiłem doniosłe odkrycie, które uszłoby uwagi wszystkich, gdybym nie wpadł na pomysł dokładnego zbadania ściany.

Małemu człowieczkowi, gdy to mówił, błyszczały oczy i widać było, że z trudem hamuje radość z pognębenia kolegi.

– Chodźcie, panowie – naglił cofając się szybko do pokoju, który teraz, po zabraniu groźnych zwłok, wydawał się nieco przyjemniejszy. – Stańcie tu!

Zapalił zapalniczkę o podeszwę swego buta i oświetlił ścianę.

– Spójrzcie! – zawołał.

Mówiłem już, że tapeta częściowo odpadła od ściany. W tym kącie pokoju duży kawał żółtawego, surowego muru był zupełnie ogołocony. W poprzek niego widniało napisane krwią jedno jedyne słowo:

RACHE

– Proszę! – tryumfował detektyw z miną iluzjonisty, któremu udała się sztuka. – Przegapił ten napis, bo jest w najciemniejszym kącie pokoju, a nikt nie domyślił się tu zajrzeć. Morderca wypisał to własną krwią. Spójrzcie, jak spłynęła po murze! To wyklucza podejrzenie o samobójstwo. Czemu morderca wybrał ten kąt? Powiem panom. Widzicie świecę nad kominkiem. Paliła się w czasie zabójstwa. A gdy się paliła, ten kąt był najjaśniejszy w całym pokoju.

– A teraz, kiedy pan to znalazł, co to znaczy? – lekceważąco zapytał Gregson.

– Znaczy? Jak to! Znaczy, że ten, co pisał, zamierzał wypisać imię Rachela, lecz coś mu przeszkodziło, Zapamiętajcie, panowie, moje słowa: gdy tajemnica się wyjaśni, dowiecie się, że w zbrodnię tę wmieszana jest jakaś kobieta imieniem Rachela. Może się pan śmiać do woli, panie Holmes. Jest pan bardzo mądry i sprytny, ale stary pies ma najlepszy węch, jak się pan przekona.

– Bardzo pana przepraszam – powiedział Holmes, który swym niewczesnym śmiechem zirytował małego człowieczka. – Oczywiście panu przypada zasługa znalezienia napisu i oczy-

wiecie ma pan rację mówiąc, że musiał go nakreślić drugi uczestnik tego tajemniczego zdarzenia. Nie miałem jeszcze czasu zbadać pokoju, ale zrobię to zaraz, jeśli panowie pozwolą.

Z tymi słowami wyciągnął z kieszeni zwijaną taśmę mierniczą i wielkie, okrągłe szkło powiększające. Uzbrojony w te dwa narzędzia, ruszył dokoła pokoju, zatrzymując się tu i tam, czasem przykłąkał, a raz nawet plackiem położył się na podłodze. Tak pochłonęły go te badania, że zapomniał o całym świecie. Bez przerwy mówił coś do siebie pod nosem, pogwizdywał wydawał pomruki, a nawet okrzyki jakby zachęty czy zadowolenia. Przypominał mi rasowego psa, dobrze ułożonego gończaka, krążącego po chaszczach, popiskującego w zapale, nim nareszcie uda mu się wpaść na stracony ślad. Z górą dwadzieścia minut uganiał wkoło, dokładnie mierząc odległość między jakimiś nieuchwytnymi dla mnie znakami i czasem, w równie niezrozumiałym celu, przykładając miarkę do muru. W jakimś miejscu bardzo ostrożnie zebrał małą kupkę szarego pyłu z podłogi i wyspał go do koperty. W końcu przyjrzał się przez powiększające szkło napisowi na ścianie, z największą skrupulatnością badając literę po literze. Skończywszy z tym wydawał się zupełnie zadowolony z wyniku, bo schował miarkę i szkło do kieszeni.

– Mówi się, że geniusz to bezgraniczna zdolność znoszenia trudów – zauważył z uśmiechem. – To zła definicja, ale słuszna dla pracy detektywa.

Gregson i Lestrade przyglądali się manewrom swego kolegi amatora ciekawie, lecz lekceważąco. Najwidoczniej nie rozumieli tego, co ja począłem już pojmować: że Holmes nawet w najmniejszej czynności zmierzał do określonego i zupełnie realnego celu.

– No i jakież jest pańskie zdanie? – zapytali.

– Ograbiłbym panów z zasługi, gdybym miał im pomóc w tej sprawie – odrzekł Holmes. – Obaj spisujecie się dotąd tak dobrze, że szkoda byłoby się w to wtrącać – ciągnął z lekką ironią. – Jeżeli, panowie, zechcecie łaskawie informować mnie o postępach śledztwa, z radością pomogę radą w miarę moich sił. Tymczasem chciałbym jeszcze pomówić z konstabłem, który znalazł zwłoki. Czy mogę prosić o jego nazwisko i adres?

Lestrade zajrzał do notesu.

– John Rance. Teraz jest po służbie. Znajdzie go pan pod numerem 46 Audley Court, Kennington Park Gate.

Holmes zanotował adres.

– Chodźmy, doktorze – powiedział. – Wpadniemy do niego. A panom powiem jedną rzecz, która może się w śledztwie przydać – zwrócił się do detektywów. – Popelniono tu morderstwo. Mordercą jest mężczyzna mierzący ponad sześć stóp wzrostu, w kwiecie wieku. Jak na swój wzrost ma małą stopę. Nosił ciężkie buty z szerokimi noskami i palił cygaro gatunku „trichinopoly”. Przybył tu ze swą ofiarą dorożką ciągniętą przez konia, który miał trzy podkowy zdarte, a jedną nową na prawej przedniej nodze. Należy przypuszczać, że morderca ma twarz rumianą, a paznokcie na prawej ręce wyjątkowo długie. Niewiele tych wskazówek, ale mogą się panom przydać.

Lestrade i Gregson spojrzeli na siebie uśmiechając się nieufnie.

– Jeżeli tego człowieka zamordowano, to jak? – zapytał Lestrade.

– Trucizna – jednym słowem odparł Holmes i ruszył do wyjścia. – I jeszcze coś, Lestrade – dorzucił odwracając się przy drzwiach. – *Rache* to po niemiecku „zemsta”, niech więc pan nie traci czasu na poszukiwania jakiejś tam Racheli.

I wypuściwszy tę partyjską strzałę⁷ wyszedł zostawiając detektywów w niemym zdziwieniu.

⁷ Strzała Partów – strzała wypuszczona w tył przez uciekającego, konno łucznika. W przenośni: zaskakująca odpowiedź.

IV. Co miał do powiedzenia John Rance

Była już pierwsza, gdy wyszliśmy z domu numer 3 na Lauriston Gardens. Sherlock Holmes zabrał mnie do najbliższego urzędu pocztowego, skąd wysłał długi telegram. Potem przywołał dorożkę i kazał nas zawieźć pod adres podany przez Lestrade'a.

– Najlepsze są informacje z pierwszego źródła – zauważył w drodze. – W gruncie rzeczy wyrobiłem sobie już własne zdanie o tej sprawie, ale nic nie zaszkodzi dowiedzieć się wszystkiego, co można.

– Pan mnie zadziwia – powiedziałem. – Chyba pan sam nie wierzy w te informacje, które pan przed chwilą podał.

– Nie może być mowy o pomyłce – odpowiedział. – Pierwszą rzeczą, którą zauważyłem po przybyciu na miejsce, były dwa ślady kół, tam i z powrotem, tuż przy obrzeżu chodnika. Aż do wczorajszego wieczoru, od tygodnia, nie mieliśmy deszczu, a więc te głębokie koleiny musiały powstać ubiegłej nocy. Widziałem tam też znaki podków, z których powtarzający się odcisk jednej był wyraźniejszy od pozostałych – zatem ta podkowa była nowsza. Skoro więc po deszczu pod dom zajechał powóz, a nikt nie przyjechał nim rano – o czym wiemy ze słów Gregsona – musiał przyjechać w nocy i przywieźć tych dwóch osobników.

– To brzmi przekonująco – powiedziałem. – Ale skąd pan wie, jakiego wzrostu był ten drugi człowiek?

– W dziewięciu wypadkach na dziesięć z długości kroków można określić wzrost człowieka. Obliczenie jest proste, ale nie ma celu nudzić nim pana. Długość kroku tego mężczyzny wymierzyłem na gliniastym gruncie zewnątrz domu i na zakurzonej podłodze wewnątrz. Poza tym mogłem sprawdzić moją kalkulację, bo pisząc coś na ścianie bezwiednie robimy to na wysokości oczu. A w pokoju od napisu do podłogi było nieco więcej niż sześć stóp. Jak pan widzi, wszystko jest bardzo proste.

– No, a wiek?

– Człowiek, który bez wysiłku daje cztery i półstopowego susa nie może być zaawansowany w latach. A taką szerokość miała kałuża na ścieżce w ogrodzie, którą przesadził po drodze. Lakierki obeszły ją wkoło, a kwadratowe noski – przesadziły. Nie ma tu nic tajemniczego. Po prostu stosuję w codziennym życiu tych parę prawideł z dziedziny obserwacji i dedukcji, które propaguję w moim artykule. Czy jeszcze coś pana zadziwiło?

– Długość paznokci u rąk i gatunek cygara – powiedziałem.

– Napis na ścianie wydrapano męskim paznokciem umaczanym we krwi. Moje powiększające szkło pozwoliło mi zobaczyć, że tynk był lekko podrapany, co by się nie było stało, gdyby piszący miał przycięte paznokcie. Z podłogi zebrałem odrobinę popiołu tytoniowego. Miał ciemny kolor i był włóknisty – taki popiół dają tylko cygara „trichinopoly”. Zajmowałem się popiołem z cygar, napisałem nawet rozprawę na ten temat. Pochlebiam sobie, że od jednego rzutu oka rozpoznam popiół każdego ze znanych gatunków cygar czy tytoniu. W takich właśnie szczegółach zręczny detektyw różni się od ludzi typu Lestrade'a i Gregsona.

– A rumiana twarz?

– Ach, to było znacznie śmielsze, choć jestem pewien, że równie trafne. Ale w obecnym stanie rzeczy nie mogę panu jeszcze tego wyjaśnić.

Przesunąłem ręką po czole.

– W głowie mi się miesza – powiedziałem. – Im więcej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się to tajemnicze. Jak ci dwaj ludzie – jeśli było ich dwóch – dostali się do pustego domu? Co się stało z dorożkarzem, który ich przywiózł? Jak jeden z nich mógł zmusić drugiego do

zażycia trucizny? Skąd krew na ścianach? Po co popełniono morderstwo, skoro nie dla rabunku? Jak się tam dostała damska obrączka? A nade wszystko, po co ten drugi napisał przed wyjściem niemieckie słowo *Rache*? Przyznaję, że nie mogę sobie tego wszystkiego połączyć w całość i wytłumaczyć.

Mój towarzysz przytaknął mi z uśmiechem.

– Podsumował pan trudności zwięźle i dokładnie – powiedział. – Wiele rzeczy pozostaje jeszcze ciemnych, choć wyrobiłem sobie zdanie o zasadniczych faktach. Co zaś do odkrycia biednego Lestrade'a, to uważam, że chodzi o zwykły podstęp dla zmylenia policji i zasugerowania jej, iż ma do czynienia z jakimś wystąpieniem socjalistów czy tajnej organizacji. Tego nie pisał Niemiec. Litera „A”, jeśli pan zauważył, miała w sobie coś z gotyku, podczas gdy prawdziwy Niemiec pisze teraz łańskimi alfabetem. Śmiało więc możemy powiedzieć, że chodzi tu nie o rdzennego Niemca, lecz niezręcznego naśladowcę, który przeholował w swoim zadaniu. Zwykły wybieg dla skierowania śledztwa na fałszywe tory. Na tym poprzestaną, doktorze. Pan wie, że kuglarz traci wiarę u widzów, gdy zdradzi tajemnicę swych sztuczek. A jeśli powiem panu za dużo o mej metodzie pracy, przyjdzie pan do wniosku, że jestem najprzeciętniejszym człowiekiem pod słońcem.

– Nigdy tego nie pomyślę – powiedziałem. – Uczynił pan z dedukcji niemal naukę ścisłą, czego nikt inny zrobić by chyba nie potrafił.

Moje słowa i poważny ton wywołały rumieniec na twarzy Holmesa. Zdażyłem już zauważyć, że jeśli chodzi o jego sztukę, był tak czuły na pochlebstwa jak dziewczyna na punkcie swej urody.

– Powiem panu jeszcze coś – dodał. – Lakierki i kwadratowe noski przyjechały tą samą dorożką i szły ścieżką, jak dwoje serdecznych przyjaciół. Prawdopodobnie pod rękę. W pokoju spacerowały tam i z powrotem, a raczej Lakierki stały, a Kwadratowe Noski chodziły tam i z powrotem. Wszystko to wyczytałem z kurzu. Wyczytałem jeszcze, że w miarę tego spaceru Kwadratowe Noski irytowały się coraz więcej. Widać to z wydłużającego się kroku. Ten człowiek mówił przez cały czas i bez wątpienia doprowadził się do wściekłości. I wtedy wydarzyła się cała tragedia. Teraz powiedziałem panu wszystko, co wiem, bo reszta to tylko domysły i podejrzenia. Mamy jednak od czego zacząć. Musimy się teraz pośpieszyć, bo chciałbym zdążyć na koncert Hallé'go i posłuchać Norman-Nerudy⁸.

Rozmawialiśmy w dalszym ciągu, jadąc dorożką przez szereg brudnych, zakopconych ulic i odpychających zaułków. W najbrudniejszej i najbardziej ponurej dorożkarz nagle przystanął.

– To już Audley Court, tam w głębi – powiedział wskazując na wąską szczelinę w długim szeregu spłowiłych, ceglanych murów. – Poczekam tu na panów.

Audley Court nie wyglądał pociągająco. Wąskim przejściem doszliśmy do kwadratowego podwórka, wyłożonego płytami i obstawionego ubogimi siedzibami ludzkimi. Torowaliśmy sobie drogę między grupkami brudnych dzieciaków i suszącą się, spraną do cna bielizną, aż dotarliśmy wreszcie do numeru 46 i stanęliśmy przed drzwiami ozdobionymi małą, miedzianą tabliczką z wyrytym na niej nazwiskiem Rance'a. Na nasze pytanie odpowiedziano, że konstabl już się położył i wprowadzono nas do małego, frontowego pokoiku, gdzie mieliśmy czekać, aż wstanie i przyjdzie.

Wreszcie zjawił się, zły, że go zbudzono.

– Złożyłem raport na posterunku – powiedział. Holmes wyjął z kieszeni pół suwerena⁹ i począł się nim bawić w zamyśleniu.

– Chcielibyśmy usłyszeć całą historię z pańskich własnych ust.

⁸ Charles Hallé (1819 – 1893) – znany pianista i dyrygent pochodzenia niemieckiego. Wilhelmina Neruda (1839 – 1911) – skrzypaczka. W roku 1864 wyszła za szwedzkiego muzyka Ludwika Normana, a w 1888 za Charlesa Hallé.

⁹ Suveren (sovereign) – złota moneta wartości jednego funta.

– Z przyjemnością powiem panom wszystko, co wiem – odpowiedział policjant nie spuszczać oka ze złotego krążka.

– Niechże więc nam pan opowie własnymi słowami, jak to było.

Rance usiadł na kanapie wypchanej końskim włosiem i zmarszczył brwi, jakby chciał sobie przypomnieć każdy szczegół.

– Opowiem od początku – zaczął. – Obchód mój trwa od dziesiątej w nocy do szóstej rano. O jedenastej wydarzyła się bijatyka „Pod Białym Jeleniem”. Gdyby nie to, spokój byłby w moim rejonie. O pierwszej zaczęło padać. Spotkałem Harry Murchera – tego, który ma rejon Holland Grove – i pogadaliśmy chwilę na rogu Henrietta Street. Wreszcie – było chyba około drugiej albo i parę minut później – pomyślałem sobie, że przejdę się w dół Brixton Road i zobaczę, czy tam aby wszystko w porządku. Ulica była diabelnie brudna i pusta. Nie spotkałem żywej duszy, tylko minęła mnie jedna, a może dwie dorożki. Szedłem ulicą i myślałem, między nami mówiąc, że przydałoby się człowiekowi golnąć teraz ćwiartkę dzynu, gdy nagle uderzył mnie widok światła w oknie tego domu. Wiedziałem, że te dwa domy na Lauriston Gardens są nie zamieszkałe, bo właściciel nie chce oczyścić ścieków, a ostatni z mieszkańców umarł na tyfus. Coś mnie więc tknęło na widok światła – od razu miałem złe przeczucie. Kiedy podszedłem do drzwi...

– Przystanął pan na chwilę i zawrócił do bramy – przerwał mu Holmes. – Po co pan to zrobił?

Rance podskoczył i wytrzeszczył oczy na Sherlocka Holmesa, śmiertelnie zdziwiony.

– Jak to? Racja! Bóg raczy wiedzieć, skąd pan to wie. Widzi pan, gdy podszedłem do drzwi, wszędzie było tak pusto i głucho, że pomyślałem sobie: „Dobrze by było mieć kogoś koło siebie”. Ja się ludzi nie boję, ale pomyślałem, że to może przyszedł ów zmarły na tyfus, by sobie obejrzyć te zabójcze ścieki. Ciarki mnie przeszły na tę myśl i wróciłem do bramy, by zobaczyć, czy nie dojrzę gdzie latarki Murchera. Ale nie było widać żywego ducha.

– Nie było nikogo na ulicy?

– Żywego ducha, nawet psa z kulawą nogą. Wziąłem się więc w garść, podszedłem do drzwi i pchnąłem je. Wewnątrz było cicho, jak makiem zasiał. Wszedłem do oświetlonego pokoju. Na półce nad kominkiem płonęła świeca... czerwona, woskowa... w jej blasku zobaczyłem...

– Dziękuję. Wiem, co pan zobaczył. Obszedł pan parę razy pokój, przykląkł pan przy nieboszczyku, przeszedł do kuchennych drzwi i spróbował je pan otworzyć, a potem...

John Rance zerwał się jak oparzony, z przerażeniem na twarzy i podejrzeniem w oczach.

– Gdzie się pan schował, że pan to wszystko widział?! – wykrzyknął. – Coś pan wie więcej, niż potrzeba!

Holmes roześmiał się i przez stół podał swój bilet wizytowy konstablowi.

– Niech pan nie myśli o aresztowaniu mnie pod zarzutem morderstwa – powiedział. – Jestem z gatunku wyżłów, nie wilków. Gregson i Lestrade zaręczą za mnie. Niechże więc pan mówi dalej. Co pan robił potem?

Rance usiadł z powrotem, lecz wciąż wyglądał na zaniepokojonego.

– Wróciłem do bramy i zagwizdałem. To sprowadziło Murchera i jeszcze dwóch kolegów.

– Czy i wtedy ulica była pusta?

– O tyle, o ile.

– Co pan ma na myśli?

Twarz policjanta rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

– Widziałem już dużo pijaków – powiedział – ale nigdy tak zalanego jak ten drab. Stał przy bramie, gdy podszedłem, oparty o sztachety i wyśpiewywał na całe gardło. Nie mógł ustać na nogach.

– Jak wyglądał? – zapytał Sherlock Holmes.

John Rance wydawał się trochę zirytowany tym odejściem od tematu.

– Był zalany w pestkę – burknął. – Odprowadzilibyśmy go na policję, gdybyśmy nie byli tak zajęci.

– Dobrze, ale jego twarz... ubiór... czy pan nic nie zapamiętał? – niecierpliwie przerwał mu Holmes.

– No, chyba że zapamiętałem, skoro wraz z Murcherem musiałem go podeprzeć. Był wysoki, rumiany, dół twarzy miał owinięty szalem...

– Ano właśnie! – wykrzyknął Holmes. – Co się z nim stało?

– Nie mieliśmy czasu na niego – odparł policjant obrażonym tonem. – Założę się, że szczęśliwie trafił do domu.

– Jak był ubrany?

– W brązowe palto.

– Czy miał w ręku bat?

– Bat... nie.

– Musiał go gdzieś zostawić – mruknął mój towarzysz. – Czy nie słyszał pan potem jakiejś dorożki?

– Nie.

– Proszę, tu jest pół suwerena – powiedział Holmes wstając i biorąc kapelusz. – Boję się, Rance, że pan nigdy nie będzie awansował. Głowę ma pan tylko dla ozdoby. Ubiegłej nocy mógł pan zdobyć naszywki sierżanta. Trzymał pan w ręku człowieka, który zna tajemnicę zbrodni i którego szukamy. Teraz szkoda już o tym mówić. Ale zapewniam pana, że mam rację. Chodźmy, doktorze.

Poszliśmy do czekającej na nas dorożki, pozostawiając Rance'a pełnego niewiary, ale wyraźnie speszzonego.

– Co za idiota! – gorzko żalił się Holmes w drodze do domu. – Tylko pomyśleć, że miał przysłowiowy łut szczęścia i nie potrafił tego wykorzystać.

– A ja ciągle nic nie rozumiem... Trzeba przyznać, że ten opis pijaka odpowiada pańskiemu opisowi osoby zamieszanej w tę zbrodnię. Ale czemu morderca wrócił do tego domu? Normalnie tak nie bywa.

– Obrączka, człowieku, obrączka... Po nią wrócił. Jeżeli nie uda nam się pochwycić go w inny sposób, zrobimy łapkę z obrączki. Schwycę go, doktorze... Głowę daję, że go schwycę. Muszę panu podziękować: gdyby nie pan, nie zająłbym się tą sprawą i straciłbym okazję do najwspanialszego studium, jakie dotąd mi się trafiało. „Studium w szkarłacie”, co? Czemu nie mielibyśmy sobie pozwolić na artystyczny żargon. W bezbarwnym kłębku życia przewija się szkarłatna nić morderstwa. Do nas należy wysupłać ją, oddzielić cał po cału. A teraz drugie śniadanie i koncert Nerudy. Jej dynamika i smyczek są wspaniałe. Jak to idzie ta melodia Chopina, którą gra tak cudnie: Tra-la-la-lira-la.

Odchyliwszy się na siedzeniu dorożki ten amator-detektyw wyśpiewywał niczym słowik, a ja zastanawiałem się tymczasem nad wielostronnością ludzkiej duszy.

V. Na ogłoszenie zjawia się gość

Nasza ranna wyprawa nadwreżyła moje wątłe siły, toteż po południu czułem się bardzo wyczerpany. Po wyjściu Holmesa na koncert położyłem się na kanapie i próbowałem zasnąć. Niestety daremnie. W moim mózgu, podekscytowanym rannymi wydarzeniami, snuły się najrozmaitsze przypuszczenia i domysły. Wystarczyło mi zamknąć oczy, by ujrzeć przed sobą wykrzywione, małpie rysy zamordowanego. Wyraz jego twarzy tak mnie przygnębił, że mimo wszystko czułem wdzięczność dla mordercy za uwolnienie ludzkości od podobnego typu. Wątpię, czy na całym świecie znalazłoby się jeszcze jakieś inne oblicze tak wyraźnie napiętnowane występkiem jak oblicze Enocha J. Drebbera z Cleveland. A przecież rozumiałem, że sprawiedliwości musi się stać zadość i że w oczach prawa niemoralność ofiary nie usprawiedliwia zabójcy.

Im więcej myślałem o wszystkim, tym bardziej zadziwiająca wydawała mi się hipoteza Sherlocka Holmesa, że Drebbera otruto. Przypomniałem sobie, jak Holmes wahał wargi ofiary, i nie wątpiłem, że wykrył coś, co go naprowadziło na tę myśl. A jeżeli tego człowieka nie otruto, to jak poniósł śmierć, skoro na zwłokach nie stwierdziliśmy ani ran, ani śladów uduszenia? Lecz z drugiej strony, czyja krew tak obficie splamiła podłogę? Nie było żadnych śladów walki, a przy ofierze nie znaleźliśmy żadnej broni, którą mógłby zranić swego przeciwnika. Czułem, że obaj z Holmesem nie będziemy mogli zasnąć tej nocy. Spokój i pewność siebie mego przyjaciela upewniły mnie, że już sobie stworzył jasny pogląd na całą sprawę. Ja jednak nie miałem najmniejszego wyobrażenia, o co by mogło chodzić w tej zbrodni i jak ją popełniono.

Holmes wrócił bardzo późno. Tak późno, że zdawałem sobie sprawę, iż to nie tylko koncert trzymał go poza domem. Zanim się zjawił, podano już obiad.

– To było wspaniałe – powiedział usadowiwszy się przy stole. – Czy pan pamięta, co powiedział Darwin o muzyce? Twierdzi, że ludzkość znała ją i potrafiła ocenić na długo przed powstaniem mowy. Być może, dlatego działa na nas tak silnie. W naszych duszach drzemie niejasne wspomnienie zamglonych wieków, kiedy świat był jeszcze w kolebce.

– Bardzo szerokie ujęcie.

– Należy wszystko ujmować tak szeroko, jak szeroka jest sama natura, skoro ma się ją tłumaczyć. Co się stało? Żle pan wygląda. Zmęczyło pana to zabójstwo przy Brixton Road.

– Prawdę mówiąc, tak – odpowiedziałem. – Moje przygody w Afganistanie powinny być uodpornić mnie psychicznie. Spokojnym okiem patrzyłem przecież na kolegów rąbanych w kawałki pod Maiwand.

– Rozumiem to doskonale. Tajemnica otaczająca tę sprawę podnieca imaginację, a gdzie nie ma imaginacji, nie ma grozy. Czy już pan przeglądał wieczorne gazety?

– Jeszcze nie.

– Znajdzie pan w nich dość dokładne sprawozdanie ze zbrodni. Milczą jednak o tym, że przy wynoszeniu trupa wypadła na ziemię kobieca obrączka. To dobrze.

– Czemu?

Niech pan spojrzy na to ogłoszenie – odparł Holmes. – Dziś rano wysłałem ten tekst do paru pism.

Podał mi gazetę przez stół. Spojrzałem na wskazane mi ogłoszenie. Było pierwsze w rubryce „znaleziono”.

Dziś rano – na Brixton Road, między szynkiem „Biały Jeleń” i Holand Grove znaleziono złotą obrączkę. Zgłosić się po odbiór do dr. Watsona, 221b Baker Street, dziś wieczór między ósmą i dziesiątą.

– Proszę mi wybaczyć, że podałem pana nazwisko – mówił Holmes. – Gdybym użył własnego, któryś z tych bałwanów poznałby się na rzeczy i chciałby się wtrącić.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziałem. – Ale jeśli się nawet ktoś zgłosi, nie mam obrączki.

– Ma ją pan – rzekł wręczając mi obrączkę. – Ta jest zupełnie podobna, niemal identyczna.

– I jak pan przypuszcza, kto po nią przyjdzie?

– Jak to kto? Człowiek w brązowym palcie... nasz rumiany przyjaciel w bucikach o szerokich noskach. Jeśli nie przyjdzie sam, przyśle współnika.

– Nie będzie się bał?

– Ani trochę... Jeśli mój pogląd na sprawę jest słuszny, a sędzę, że tak, ten człowiek będzie wolał zaryzykować głową, niż stracić obrączkę. Według mnie zgubił ją, gdy się pochylił nad ciałem Drebbera, i nie zauważył tego w porę. Po wyjściu z domu połapał się, że jej nie ma i zawrócił. Ale już natknął się na policję, którą ściągnął przez własną głupotę, zapomniawszy zgasić świecę. Musiał więc udać pijanego, by odwrócić od siebie podejrzenie policjanta, które mógł obudzić swym widokiem. Niech się pan teraz postawi na jego miejscu. Gdy ponownie wszystko przemyślał, musiało mu przyjść do głowy, że mógł zgubić obrączkę na ulicy, już po wyjściu z domu. Cóż więc zrobi? Niecierpliwie będzie wyczekiwać na wieczorne gazety, spodziewając się, że może ktoś ogłosi o jej znalezieniu. Ucieszy się na widok spełnionej nadziei. Nie będzie się posiadał z radości. Czemu miałby podejrzewać pułapkę? Nie zrozumie, jaki związek może mieć znalezienie obrączki z morderstwem. I przyjdzie. Musi przyjść. Zobaczy go pan za godzinę.

– A wtedy? – zapytałem.

– Resztę niech pan mnie pozostawi. Czy ma pan jakąś broń?

– Mam mój stary służbowy rewolwer i parę naboji.

– Dobrze by było, gdyby pan go oczyścił i nabił. To desperat i choć postaram się go zaskoczyć, dobrze będzie przygotować się na wszystko.

Poszedłem do sypialni i uczyniłem, jak mi radził. Gdy wróciłem z rewolwerem w rękę, zastałem stół już sprzątnięty, a Holmesa pochłoniętego swym ulubionym zajęciem: wodzeniem smyczkiem po strunach.

– Zagadka się komplikuje – powitał mnie. – Właśnie nadeszła odpowiedź na depezę do Ameryki. Potwierdza się mój pogląd.

– To znaczy? – zapytałem gorączkowo.

– Moje skrzypce byłyby lepsze, gdyby im dać nowe struny – zauważył. – Niech pan wsadzi rewolwer do kieszeni. Gdy ten gość wejdzie, musi pan z nim mówić jakby nigdy nic. Resztę proszę mnie zostawić. Niech go pan nie spłoszy przyglądając mu się zbyt badawczo.

– Już ósma – powiedziałem patrząc na zegarek.

– Tak. Pewnie tu będzie za parę minut. Niech pan trochę uchyli drzwi. Tak, tyle wystarczy. Teraz niech pan przełoży klucz do wewnątrz. Dziękuję. Rzadką książkę kupiłem wczoraj na straganie: „*De iure inter Gentes*”, wydaną po łacinie w Liège w Niderlandach w roku 1642. Głowa Karola¹⁰ mocno jeszcze siedziała na karku, gdy wytłoczono ten mały tomik w brązowej skórze.

– Kto go tłoczył?

– Jakiś Phillipe de Croy. Na pierwszej karcie widnieje słowiały już napis: „*Ex libris Guilielmi Whyte*”. Zastanawiam się, kim był ten William Whyte. Pewnie jakimś wścibskim prawnikiem siedemnastego wieku. Sądząc po piśmie, musiał być wielkim legalistą. Ale oto nasz gość.

¹⁰ Mowa o świętym Karolu I (1600 – 1649), królu Anglii i Irlandii.

Gdy mówił, ktoś mocno pociągnął za dzwonek. Sherlock Holmes wstał cicho i przysunął fotel do drzwi. Usłyszeliśmy kroki służącej na korytarzu i ostry szcęk odsuwanej zamka przy drzwiach.

– Czy tu mieszka doktor Watson? – zapytał ktoś wyraźnym, choć zachrypniętym głosem. Nie słyszeliśmy odpowiedzi służącej, ale drzwi zamknęły się i przybysz począł wstępować po schodach. Szedł niepewnie, powłócząc nogami. Sherlock Holmes wyraźnie zdziwił się słysząc ten chód. Nasz gość wolno przeszedł korytarz i zastukał w nasze drzwi.

– Proszę! – zawołałem.

Na to wezwanie do pokoju zamiast mężczyzny w pełni sił, jak oczekiwaliśmy, niepewnie weszła pomarszczona starowinka. Musiał ją oślepić blask światła, bo dygnawszy stanęła patrząc na nas zmatowiałymi oczami spod zmrużonych powiek i grzebiąc w kieszeni nerwowymi, trzęsącymi się palcami. Spojrzałem ukradkiem na mojego towarzysza i na widok jego zmartwionej i rozczarowanej twarzy o mało się nie roześmiałem.

Starowina wyciągnęła gazetę wieczorną i pokazała nam ogłoszenie.

– Ono mnie tu sprowadza, moi dobrzy panowie – powiedziała i znów dygnęła. – Złota obrączka na Brixton Road. Należy do mojej córki Sally, która teraz będzie rok, jak wyszła za mąż za stewarda z „Union Boat”. Strach pomyśleć, co on powie, gdy wróci do domu i zobaczy, że ona nie ma obrączki, bo i tak jest skory do bicia nawet na trzeźwo, cóż dopiero po pijanemu. Wczoraj wieczorem córka poszła do cyrku...

– Czy to ta obrączka? – zapytałem.

– Dzięki ci, Panie Boże! – wykrzyknęła stara. – Ale Sally się ucieszy! To ta.

– A gdzie pani mieszka? – pytałem biorąc ołówek.

– Duncan Street numer 13, Houndsditch. Kawał drogi stąd.

– Pomędzy Brixton Road a Houndsditch nie ma żadnego cyrku – ostro zauważył Holmes. Stara odwróciła się i uważnie popatrzyła na niego małymi, zaczerwienionymi oczkami.

– Ten pan pytał o mój adres – powiedziała. – Sally mieszka w umeblowanych pokojach na Mayfield numer 3, Peckham.

– A pani się nazywa?

– Ja nazywam się Sawyer... Ona – Dennis. Wyszła za Toma Dennisa... dzielnego chłopca, porządnego na morzu. Żaden steward nie jest tak ceniony jak on. Ale po zejściu na brzeg, gdy chodzi o kobiety i knajpy...

– Niech pani weźmie obrączkę – przerwałem stosując się do znaku Holmesa. – Niewątpliwie należy do córki pani. Cieszę się, że mogę oddać zgubę prawej właścicielce.

Mamrocząc jakieś podziękowania i błogosławiąc mnie, starucha schowała obrączkę do kieszeni i podreptała ze schodów. Ledwie wyszła, Holmes zerwał się na równe nogi i pobiegł do swego pokoju. W parę sekund był z powrotem szczelnie owinięty w długie, luźne palto i w szal.

– Pobiegnę za nią – powiedział szybko. – Musi być w zmowie i zaprowadzi mnie do niego. Niech pan czeka na mnie.

I ledwie drzwi zdążyły się zatrzasnąć za naszym gościem, był już na dole. Z okna mogłem widzieć, jak starucha powlokła się drugą stroną ulicy, a Holmes szedł trop w trop za nią.

Albo się całkowicie myli – myślałem – albo dotrze teraz do sedna tajemnicy.

Wcale nie potrzebował mnie prosić, bym na niego czekał, czułem bowiem, że nie zmrużę oka, póki się nie dowiem, jak mu się powiodło w pościgu. Wybiegł z domu koło dziewiątej. Nie miałem najmniejszego pojęcia, kiedy wróci, ale czekałem pykając leniwie fajeczkę i przerzucając „Cyganerię” Henryka Murgera. Już po dziesiątej usłyszałem, jak służąca podreptała do łóżka. O jedenastej koło mych drzwi majestatycznie przemaszerowała nasza gospodyni, udając się na spoczynek. Dopiero tuż przed dwunastą głośno szcęknął zamek przy drzwiach na dole. Ledwie Holmes wszedł, poznałem, że przegrał. Wesołość i rozdrażnienie walczyły o lepsze na jego twarzy, aż wreszcie ta pierwsza zwyciężyła i Holmes wybuchnął głośnym śmiechem.

– Za nic na świecie nie chciałbym, by w Scotland Yardzie dowiedziano się o tym – zawołał padając w fotel. Tyle razy dałem im się we znaki, że teraz straciłbym u nich posłuch. Mogę sobie pozwolić na żarty, bo wiem, że w końcu będę górą.

– Co się stało? – zapytałem.

– Och, nie wstydzę się mówić o swej porażce. Ta baba po paru krokach zaczęła utykać, jakby ją nogi bolały. Wreszcie przystanęła i zatrzymała przejeżdżającą dorożkę. Podeszedłem jak najbliżej, aby usłyszeć, dokąd każe się zawieźć, niepotrzebnie jednak, bo tak się darła, że słysząc ją było po drugiej stronie ulicy. „Duncan Street 13, Houndsditch” wrzeszczała. „To wygląda na prawdę” pomyślałem i zobaczywszy, że się usadowiła wewnątrz, przyczepiłem się z tyłu. To każdy detektyw powinien umieć. Ruszyliśmy naprzód, nigdzie nie przystając aż do wskazanej ulicy. Zeskoczyłem, zanim jeszcze dorożka zajęchała pod dom, i poszedłem sobie, jakby nigdy nic, z niedbałą miną. Zobaczyłem, że dorożka staje. Dorożkarz zeskoczył, otworzył drzwiczki i czekał. Nikt jednak nie wysiadł. Gdy podeszedłem bliżej, ujrzałem, że jak szalony przetrząsa wnętrze dorożki i klnie, na czym świat stoi. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się słyszeć takich wymysłów. Pasażerka zniknęła bez śladu i obawiam się, że dorożkarz długo poczeka na pieniądze. Na nasze pytanie odpowiedziano nam, że dom numer 13 należy do niejakiego Keswicka, ogólnie poważanego tapeciarza, i że żadna Sawyer czy Dennis tam nie mieszkają. Nikt też nie słyszał o takich.

– Chce pan powiedzieć – zawołałem zdumiony – że ta niemrawa, słaba babina wyskoczyła w biegu z dorożki, tak że ani pan, ani stangret tego nie zauważyli?!

– Babina... niech ją diabli! – ostro uciął Holmes. – To z nas raczej stare baby, że pozwoliliśmy się tak nabrać. To musiał być młody, żwawy mężczyzna, no i wspaniały aktor. Cudownie się ucharakteryzował. Bez wątpienia domyślił się, że ktoś jest na jego tropie i użył fortelu, by się wymknąć. Wynika z tego, że człowiek, którego szukamy, wcale nie jest taki samotny, jak przypuszczałem. Ma przyjaciół gotowych dla niego nadstawić karku. Doktorze, sprawia pan wrażenie zupełnie wyczerpanego. Niech pan posłucha mojej rady i położy się.

Istotnie czułem się bardzo zmęczony, toteż usłuchałem go bez słowa. Holmes został przy ogniu tlejącym na kominku i długo jeszcze słyszałem melancholijne kwilenie skrzypiec. Wiedziałem, że ciągle rozmyśla nad dziwną zagadką, którą postanowił sobie rozwiązać za wszelką cenę.

VI. Tobiasz Gregson pokazuje, co umie

Nazajutrz gazety pełne były opisów „Brixtońskiej tajemnicy”, jak nazwały morderstwo przy Brixton Road. Wszystkie zamieszczały szczegółowe sprawozdanie, a niektóre nadto poświęciły tej sprawie wstępne artykuły. Kilka wiadomości było dla mnie zupełnie nowych. W moim brulionie zachowały się jeszcze niektóre wycinki i streszczenia tych artykułów. Oto parę z nich:

„Daily Telegraph” zauważa, że w historii zbrodni rzadko zdarzały się tragedie o tak zagadkowych rysach. Niemieckie nazwisko ofiary, zupełny brak wyraźnych motywów, budzący grozę napis na ścianie – wszystko to wskazuje na udział w niej politycznych uchodźców i rewolucjonistów. Socjaliści są dość silni w Ameryce. Niewątpliwie zmarły przekroczył ich niepisane prawa i dopadli go wreszcie. Z lekka nawiązując do Fehmgericht¹¹, Aqua Tofany¹², Karbonariuszów¹³, do markizy de Brinvilliers¹⁴, do teorii Darwina i Malthusa, do morderców z Ratcliff Hogway, autor artykułu kończy ostrzeżeniem pod adresem rządu i apelem do zwracania baczniejszej uwagi na działalność obcokrajowców w Anglii.

„Standard” rozpoczął od stwierdzenia, że podobne przestępstwa, stanowiące pogwałcenie wszelkiego prawa, zwykle wydarzają się za rządu liberałów. Rodzą się one we wzbudzonych umysłach mas i wynikają ze stałego upadku wszelkich autorytetów. Zamordowany był amerykańskim obywatelem, od paru tygodni mieszkającym w stolicy. Zatrzymał się w pensjonacie pani Charpantier na Torquay Terrace, Camberwell. W podróży towarzyszył mu prywatny sekretarz, Józef Stangerson. We wtorek, czwartego, obaj pożegnali się z gospodynią i odjechali na dworzec Euston z jawnym zamiarem złapania ekspresu liverpoolskiego. Widziano ich razem na peronie. Później słuch o nich zaginął, aż do czasu znalezienia ciała Drebbiera w pustym domu na Brixton Road, o wiele mil od Euston. Ciągłe jednak pozostaje tajemnicą, jak Drebbier się tam dostał i jak doszło do zabójstwa. Nic zupełnie nie wiadomo o losie Stangersona. „Z radością dowiadujemy się – podawało pismo – że tę sprawę powierzono panom Lestrade i Gregsonowi ze Scotland Yardu, i ufamy, iż ci dobrze znani detektywi szybko wyjaśnią tajemnicę”.

„Daily News” sugeruje, że niewątpliwie mamy do czynienia ze zbrodnią polityczną. Despotyzm i nienawiść do liberalizmu, przejawiane przez rządy kontynentalnych państw europejskich, przygnały do Anglii pewną grupę ludzi, którzy mogliby być doskonałymi obywatelami, gdyby przeżycia nie uczyniły z nich ludzi zgorzkniałych. Ci ludzie rządzą się surowym kodeksem honoru, a najmniejsze przekroczenie jego kanonów karzą śmiercią. „Za wszelką cenę trzeba odszukać sekretarza Stangersona i dowiedzieć się kilku szczegółów z życia zmarłego. Zrobiono wielki krok naprzód, ustalając, gdzie zmarły mieszkał. Zawdzięczamy to całkowicie czujności i energii pana Gregsona ze Scotland Yardu”.

Sherlock Holmes, z którym wspólnie przy śniadaniu przeczytałem te artykuły, szczerze się nimi ubawił.

¹¹ Fehmgericht (Vehmgericht) – obok sądów urzędowych istniały w Niemczech sądy Fehmgericht, które powoływane były wtedy, kiedy zawodziła praworządność. Najbardziej rozwinęła się ich działalność w XIV i XV w. Początkowo były jawne, później – tajne.

¹² Aqua Tofana (woda Tofany) – trujący płyn, rzekomo wynaleziony przez Sycyliankę Tofanę. Miała ona skryć otruc nim w wieku XVIII około 600 osób. Podawała truciznę pod postacią leku zwanego „Manna św. Michała z Bari”, wykorzystując zabobon, według którego płyn wydzielający się ze świętych relikwii miał być skuteczny we wszystkich chorobach.

¹³ Karbonariusze – tajna organizacja rewolucyjna działająca we Włoszech w pierwszej połowie XIX wieku i we Francji w 20 – 30 latach XIX wieku.

¹⁴ Markiza de Brinvilliers (Marie Madeleine d'Aubray) – trucicielka, ścięta i spalona w 1667 roku.

– Mówiłem panu, że tak czy owak Lestrade i Gregson dobrze na tym wyjdą.

– Zależy od obrotu sprawy.

– Ee tam! To nie gra żadnej roli. Jeśli uda się złapać przestępcę, to dzięki ich wysiłkom, jeśli zaś ujdzie on sprawiedliwości, to mimo ich wysiłków. Cetto czy lichy, oni zawsze wygra. Jakkolwiek postąpią, znajdą admirałów. *Un sot trouve toujours un plus sot qui l'admire*¹⁵.

– Co się dzieje! – zawołałem słysząc w tej chwili tupot licznych stóp w sieni i na schodach, któremu towarzyszyły nie mniej głośnie protesty naszej gospodyni.

– To oddział policyjnych sił brygady Baker Street – poważnie odparł mój towarzysz, a przy jego ostatnich słowach do pokoju wpadło z pół tuzina najbrudniejszych i najbardziej obdartych bezdomnych uliczników, jakich kiedykolwiek widziałem.

– ...aaczność! – ostro skomenderował Holmes i sześciu małych, brudnych łobuzów zastygło nieruchomo niby sześć posążków.

– W przyszłości będzie do mnie z raportem przychodził sam Wiggins. Reszta musi czekać na ulicy. Wiggins! Znaleźliście go?

– Nie, proszę pana – odparł jeden z chłopców.

– Nie liczyłem, że wam się uda. Ale musicie szukać, póki go nie znajdziecie. Tu macie waszą pensję – dał każdemu po szylingu. – A teraz wynoście się i przynieście mi lepsze wiadomości.

Skinął ręką i chłopcy na łeb na szyję puścili się w dół po schodach, niczym stado szcureków. Za chwilę usłyszeliśmy ich przeraźliwe krzyki na ulicy.

– Z takimi małymi żebrakami można więcej zdziałać niż z tuzinem policjantów – zauważył Holmes. – Sam widok oficjalnej osoby zamyka ludziom usta. A ci wcisną się wszędzie i wszystkiego się wywiedzą. Sprytu im nie brak, tylko organizacji.

– Czy używa ich pan do sprawy Brixton Road? – zapytałem.

– Tak. Chciałbym się co do jednego upewnić. To tylko kwestia czasu. Aha! Zaraz będziemy mieli pełne uszy wiadomości! Gregson idzie ulicą, a z twarzy aż bije mu radość. Chyba zmierza do nas. Tak, przystaje. Za chwilę tu będzie.

Zabrzączał mocno targnięty dzwonek i w parę chwil potem jasnowłosy detektyw wbiegł po trzy stopnie na górę i wpadł do naszej bawialni.

– Może mi pan powinszować! – zawołał, wylewnie ściskając dłoń Holmesa. – Wyjaśniłem już całą tajemnicę.

Cień niepokoju przemknął po wyrazistym obliczu mego towarzysza.

– Wpadł pan na właściwy trop? – zapytał.

– Właściwy trop! Mój panie, mordercę mamy już pod kluczem.

– I jak się nazywa?

– Artur Charpentier. Podporucznik królewskiej floty – z emfazą wypalił Gregson, zacieraając pulchne dłonie i wypinając pierś.

Sherlock Holmes odetchnął z ulgą i rozpozgodził twarz w uśmiechu.

– Niech pan siada i zapali jedno z tych cygar – powiedział. – Umieram z ciekawości, by się dowiedzieć, jak się to panu udało. Może się pan napije trochę whisky z wodą?

– Chętnie – odparł detektyw. – Wyczerpało mnie te kilka dni wielkiego wysiłku. I to nie tyle wysiłku fizycznego, ile napięcia umysłowego. Pan to najlepiej zrozumie, panie Holmes, bo obaj pracujemy przede wszystkim mózgiem.

– Zaszczycą mnie pan tą uwagą – poważnie odrzekł Holmes. – Niechże pan nam opowie, jak pan doszedł do tak wspaniałych wyników?

Detektyw siadł w fotelu i wielce zadowolony z siebie pykał cygaro. Nagle w napadzie radości klepnął się po udach.

¹⁵ Przysłowie francuskie: głupiec zawsze znajdzie jeszcze głupszego, który go podziwia.

– Najzabawniejsze jest to – wykrzyknął – że ten wariat Lestrade, który się uważa za tak zręcznego, goni całkiem fałszywym tropem. Szuka Stangersona, sekretarza, który ma tyle z tą zbrodnią wspólnego, co nowonarodzone dziecko. Nie wątpię, że już go złapał.

Ta myśl tak go uradowała, że aż dostał czkawki ze śmiechu.

– A jak pan wpadł na właściwy ślad?

– Zaraz panu powiem. Doktorze Watson, rozumie pan, że to musi zostać między nami. Pierwsza trudność polegała na wyjaśnieniu przeszłości Amerykanina. Inni czekali na wynik ogłoszeń albo aż ktoś się sam zgłosi z jakąś informacją. Ale nie Tobiasz Gregson! Czy pamiętacie, panowie, cylinder zamordowanego?

– Tak – odparł Holmes. – Kupiony w firmie John Underwood i Synowie, 129, Camberwell Road.

Gregsonowi twarz się wyciągnęła.

– Nie myślałem, że pan to zauważy – powiedział. – Czy pan już tam był?

– Nie.

– Ha! – wykrzyknął Gregson z ulgą. – Nigdy nie należy lekceważyć sobie nawet najmniejszej szansy.

– Dla wielkich umysłów nic nie jest małe – sentencjonalnie zauważył Holmes.

– No więc poszedłem do Underwooda i zapytałem, czy sprzedał taki a taki kapelusz o takim wymiarze. Przejrzał swe księgi i od razu natknął się na odpowiednią pozycję. Podobny kapelusz odesłał panu Drebberowi, zamieszkałemu w pensjonacie pani Charpentier, Torquay Terrace. W ten sposób zdobyłem adres zamordowanego.

– Zręcznie... bardzo zręcznie – mruknął Sherlock Holmes.

– Z miejsca udałem się do pani Charpentier – ciągnął detektyw. – Zastałem ją niezwykle bladą i przygnębioną. Była przy niej jej córka... piękna dziewczyna. Zaraz spostrzegłem, że oczy miała zaczerwienione, a wargi jej drżały, gdy mówiła do matki. Poczułem, że coś tu jest nie w porządku. Zna pan to uczucie, panie Holmes, gdy człowiek wpadnie na ślad... taki nerwowy dreszczyk. Zapytałem:

– Czy panie już słyszały o tajemniczej śmierci ich byłego pensjonariusza, Enocha J. Drebbera z Cleveland?

Matka skinęła głową. Nie mogła wydusić z siebie słowa. Córka się rozplakała. Nabrałem pewności, że wiedzą coś więcej o całej sprawie.

– O której Drebber wyjechał od państwa na stację? – zapytałem.

– O ósmej – odparła matka, przełknąwszy nerwowo ślinę. – Sekretarz pana Drebbera, pan Stangerson, mówił, że mają dwa pociągi: o 9.15 i o 11. Chciał złapać pierwszy.

– I potem już go panie nie widziały?

Pani Charpentier straszliwie zmieniła się na twarzy. Zbladła jak papier. Upłynęło parę sekund, zanim się zdobyła na jedno jedyne słowo: „tak”, które wykrztusiła sztucznym, ochrypłym głosem.

Na chwilę zapanowała cisza. Przerwała ją córka mówiąc spokojnie i wyraźnie:

– Kłamstwo nigdy nie prowadzi do dobrego, mamó. Bądźmy szczerze z tym panem. Widziałyśmy raz jeszcze pana Drebbera.

– Niech ci Bóg wybaczy! – wykrzyknęła pani Charpentier, wznosząc w górę ręce i opadając bezsilnie w fotelu. – Zamordowałaś własnego brata!

– Artur byłby za tym, żeby powiedzieć prawdę – pewnym głosem rzekła dziewczyna.

– Niech panie mówią wszystko szczerze, to będzie najlepsze – wtrąciłem. – Takie połowiczne zaufanie gorsze jest niż żadne. Poza tym przecież panie nie wiedzą, co my naprawdę wiemy, a czego nie wiemy.

– Na swoją odpowiedzialność, Alicjo! – zawołała matka i zwróciła się do mnie: – Powiem panu wszystko. Niech pan nie sądzi, że moje podniecenie wypływa z obawy o syna. Ja wiem, że on nie przyłożył ręki do tego niecnego zabójstwa. Jest zupełnie niewinny. Ale boję się, że

w pańskich oczach czy w oczach innych ludzi może ujść za winnego. Ale to niemożliwe! Jego szlachetny charakter, zawód, cała jego przeszłość zadają kłam takiemu podejrzeniu.

– Najlepiej pani zrobi przedstawiając mi szczerze wszystkie wypadki – odparłem. – Jeśli pani syn jest niewinny, może pani wierzyć, że nie stanie mu się nic złego.

– Może, Alicjo, zostawisz nas samych – powiedziała pani Charpentier. A gdy jej córka wyszła, zwróciła się znów do mnie: – Początkowo, proszę pana, nie chciałam panu mówić wszystkiego, ale skoro córka zaczęła, nie mam wyboru. Teraz zaś, raz powziąwszy decyzję, nie ukryję żadnego szczegółu.

– To będzie najmądrzej – rzekłem.

– Pan Drebber mieszkał u nas bez mała trzy tygodnie. Wraz ze swym sekretarzem, Stangersonem, podróżowali przedtem po Europie. Na ich walizkach widziałam nalepkę „Kopenhaga”, co wskazuje, że to miasto było ostatnie, w którym bawili przed przyjazdem do Anglii. Stangerson to człowiek spokojny, opanowany, ale jego chlebodawca – przykro mi o tym mówić – to typ całkiem inny. Nieokrzesany, prostak i brutal. W dzień swego przyjazdu upił się i zachowywał okropnie. Nawet następnego dnia w południe jeszcze nie wytrzeźwiał. Zaczepiał służące i, co gorsza, podobnie zaczął traktować moją córkę. Parokrotnie nagabywał ją, ale na szczęście w swej niewinności nie rozumiała, o co mu chodzi. Raz schwycił ją nawet i objął... Jego własny sekretarz, oburzony tym niecnym postępkiem, czynił mu ostre wyrzuty.

– Czemu to pani znosiła? – zapytałem. – Chyba może pani wymówić mieszkanie swym lokatorom, kiedy pani chce.

Pani Charpentier zaczerwieniła się na tę logiczną uwagę.

– Bóg mi świadkiem, że kazałabym mu się wynieść zaraz pierwszego dnia – powiedziała. – Ale pokusa była za silna. Płacili po funcie dziennie od osoby; czternaście funtów co dwa tygodnie, a teraz przecież mamy martwy sezon. Jestem wdową, a mój syn w marynarce dużo mnie kosztuje. Żal mi było tracić te pieniądze. Chciałam jak najlepiej. Jednakże tym ostatnim wybrykiem Drebber przebrał miarę i wymówiłam mu mieszkanie. Dlatego wyjechał.

– No więc?

– Odetchnęłam z ulgą widząc, że wyjeżdża. Mój syn bawi u nas na urlopie, ale że jest gwałtowny i szalenie kocha siostrę, nic mu nie mówiłam. Ciężar spadł mi z serca, gdy drzwi zamknęły się za moimi lokatorami. Niestety w niecałą godzinę potem usłyszałam dzwonek i oznajmiono mi, że Drebber wrócił. Był bardzo podniecony i co gorsza – pijany. Przemocą wszedł do pokoju, gdzie siedziałyśmy z córką, i coś wybełkotał o spóźnieniu się na pociąg. Potem zwrócił się do Alicji i nic sobie ze mnie nie robiąc zaproponował jej, by z nim uciekła. „Jest już pani pełnoletnia – powiedział – i żadne prawo pani nie zatrzyma. Pieniądzy mam jak lodu. Niech pani nie zważa na tę starszą damę i natychmiast idzie ze mną. Będzie pani żyła jak udzielna księżna”. Biedna Alicja próbowała uciec, ale on złapał ją za rękę i pociągnął do drzwi. Zaczęłam krzyczeć i mój syn, Artur, wszedł na tę scenę. Nie wiem, co się potem działo. Słyszałam jakieś przekleństwa i szamotanie. Nie mogłam podnieść głowy z przerażenia. A kiedy ochłonęłam, zobaczyłam Artura śmiejącego się i stojącego na progu z laską w rękę. „Zdaje mi się, że ten facet już się tu nie pokaże – powiedział. – Pójdę teraz za nim i zobaczę, co pocnie”. Z tymi słowami wziął kapelusz i wyszedł na ulicę. A nazajutrz rano dowiedzieliśmy się o tajemniczej śmierci Drebbera.

Pani Charpentier opowiedziała mi to wszystko wśród częstych wzdychań i przerw. Czasem mówiła tak cicho, że ledwie ją słyszałam. Stenografowałam sobie jej słowa, nie może więc być mowy o pomyłce.

– Nadzwyczaj ciekawe – powiedział Holmes ziewając. – I co dalej?

– Kiedy już skończyła – ciągnął detektyw – zorientowałem się, że wszystko się obraca koło jednego punktu. Wpatrując się w nią badawczo, co jak zauważyłem, zawsze jest skuteczne z kobietami, zapytałem, o której jej syn wrócił.

– Nie wiem – odpowiedziała.

- Nie wie pani?
- Nie. Ma własny klucz i sam sobie otwiera drzwi.
- W każdym razie, gdy pani już poszła spać?
- Tak.
- A o której pani poszła do łóżka?
- Koło jedenastej.
- A zatem syna pani nie było co najmniej dwie godziny?
- Tak.
- A może cztery lub pięć?
- Możliwe.
- Cóż robił przez tak długi czas?
- Nie wiem – powiedziała kredowo blade.

Oczywiście sprawa była jasna. Dowiedziałem się, gdzie można złapać młodego Charpentiera, wziąłem dwóch ludzi do pomocy i aresztowałem go. Gdy kładłem mu rękę na ramieniu i uprzedzałem, by nie stawiał oporu, powiedział czelnie: „Sądzę, że aresztuje mnie pan pod zarzutem udziału w morderstwie tego łotra Drebbiera”. A że nic nie mówiliśmy mu przedtem, ta uwaga zabrzmiała bardzo podejrzenie.

– Bardzo – rzekł Holmes.

– Miał jeszcze przy sobie masywną laskę, którą jak matka mówiła, zabrał ze sobą idąc za Drebbierem. To ciężki, dębowy kawał kija.

– No, i jak pan sobie wyobraża tę całą historię?

– Ja to sobie tak obmyśliłem: Charpentier poszedł za Drebbierem na Brixton Road. Tam wynikła między nimi nowa kłótnia i Charpentier uderzył Drebbiera tym ciężkim kijem w dołek. Cios był śmiertelny i nie pozostawił żadnego śladu. Padało, na ulicy nie było nikogo, Charpentier zdołał więc bez świadków wciągnąć ciało do pustego domu. A świeca, krew i napis to pewnie są tricki dla zmylenia policji.

– Zuch z pana! – rzekł Holmes z zachętą w głosie. – Gregson, wspaniale się pan spisał. Będą jeszcze z pana ludzie.

– Pochlebiam sobie, że dobrze się spisałem – dumnie odparł detektyw. – Młody człowiek przyznał się dobrowolnie, że jakiś czas szedł za Drebbierem, ale ten go zobaczył i wsiadł do dorożki, by mu umknąć. Wracając do domu Charpentier miał jakoby spotkać kolegę, z którym długo spacerował. Zapytany, gdzie ten kolega mieszka, nie umiał dać odpowiedzi. Myślę, że wszystko wspaniale się zgadza. Śmiesz mnie Lestrade uganiający za fałszywym śladem. Nic z tego nie będzie. U licha, otóż i on!

Istotnie w czasie naszej rozmowy Lestrade wszedł na górę i teraz stał w drzwiach. Brakło mu jednak zwykłego tupetu i zadowolenia z siebie. Minę miał zakłopotaną i niepewną, a ubrany był nieporządnie – na łapucapu. Niewątpliwie przyszedł naradzić się z Holmesem, ale ujrawszy swego kolegę do reszty stracił kontenans. Stał w pokoju, bezradnie mnąc kapelusz.

– Niezwykle zawiła sprawa – wykrztusił wreszcie. – Bardzo zagadkowa.

– Ach, tak pan uważa, panie Lestrade! – triumfująco wykrzyknął Gregson. – Przypuszczałem, że pan dojdzie do tego wniosku. Udało się panu umiejscowić Józefa Stangersona?

– Józefa Stangersona, sekretarza Drebbiera – poważnym tonem powiedział Lestrade – zamordowano dziś koło szóstej rano w hotelu Halliday.

VII. Światelko w mroku

Oszło miła nas niespodziewana i niezwykle ważna wiadomość, którą Lestrade obwieścił na przywitaniu. Gregson zerwał się z fotela, przewracając resztki whisky z wodą. Ja w milczeniu patrzyłem na Sherlocka Holmesa, który zacisnął usta i zmarszczył brwi.

– Stangerson także! – mruknął. – Sprawa się komplikuje.

– Już przedtem była dość skomplikowana – żałośnie powiedział Lestrade przysuwając sobie krzesło. – Widzę, że trafiłem na coś w rodzaju rady wojennej.

– Czy jest pan... pewien tej wiadomości? – wyjąkał Gregson.

– Przychodzę prosto z jego pokoju – odparł Lestrade. – Pierwszy wykryłem, co się stało.

– Znamy już pogląd Gregsona – rzekł Holmes. – Może z łaski swojej pan nam opowie, czego pan był świadkiem i czego pan dokonał.

– Bardzo chętnie – odparł Lestrade siadając wygodnie. – Przyznaję otwarcie: sądziłem, że Stangerson zamieszany jest w morderstwo Drebbiera, lecz to nowe wydarzenie wskazuje, że się gruntownie myliłem. Pochłonięty jedną myślą, gorliwie zająłem się osobą sekretarza. Obu, jego i jego chlebodawcę, widziano na dworcu Euston koło pół do dziewiątej wieczorem trzeciego bieżącego miesiąca. O drugiej w nocy znaleziono Drebbiera na Brixton Road. Należało więc ustalić, co robił Stangerson między ósmą trzydzieści a godziną zbrodni i co się z nim działo potem. Telegraficznie nadałem jego rysopis do Liverpoolu i kazałem śledzić statki odchodzące do Ameryki. Potem zabrałem się do roboty i odwiedziłem wszystkie hotele i pensjonaty w pobliżu Euston. Widzicie, panowie, myślałem, że jeżeli Drebbier rozstał się ze swym towarzyszem, to ten najpewniej ulokował się na noc gdzieś w pobliżu, by od rana czekać na dworcu.

– Prawdopodobnie zawczasu ustalili sobie miejsce spotkania – zauważył Holmes.

– Tak też było. Cały wczorajszy wieczór straciłem na daremnych poszukiwaniach. Dziś zacząłem od wczesnego ranka i o ósmej dotarłem do hotelu Halliday na Little George Street. Na moje pytanie, czy nie zatrzymał się czasem u nich Stangerson, odpowiedziano mi twierdząco.

– Pewnie pan jest tym, na kogo on czeka – powiedziano. – Od dwóch dni czeka na jakiegoś pana.

– Gdzież teraz jest? – zapytałem.

– U siebie na górze, w łóżku. Kazał się zbudzić o dziewiątej.

– Pójdę do niego – rzekłem.

Sądziłem że zaskoczony moim widokiem, mimo woli się wygada Posługacz ofiarował się, że mnie zaprowadzi. Pokój zajęty przez Stangersona mieścił się na drugim piętrze, a szło się do niego wąskim korytarzem. Posługacz wskazał mi właściwe drzwi i już miałem go odesłać, gdy ujrzałem coś, co przyprawiło mnie o mdłości, mimo mej dwudziestoletniej praktyki. Spod drzwi, wijąc się, wypływała wąska, czerwona, krwawa struga i u przeciwległej listwy zbierała się w małą kałużę. Na mój krzyk posługacz zatrzymał się. Mało nie zemdlał na ten straszny widok. Drzwi były zamknięte od wewnątrz, więc wyważyliśmy je wspólnymi siłami. Okno pokoju było otwarte i przy nim leżały skurczone zwłoki mężczyzny w nocnej koszuli. Musiał już skonać przed paroma godzinami, bo kończyny miał zimne i sztywne. Gdyśmy go odwrócili na wznak, posługacz od razu poznał w nim człowieka, który wynajął pokój, podając się za Józefa Stangersona. Zginał od głębokiego ciosu w lewą pierś, który prawdopodobnie przeszył mu serce. A teraz najważniejsza część zagadki! Jak sądzą, co ujrzałem nad zamordowanym?

Zanim jeszcze Holmes zdążył odpowiedzieć, poczułem, jak cierpnie na mnie skóra.

– Słowo RACHE napisane krwią – powiedział.

– Tak – potwierdził Lestrade głosem nabrzmiałym trwogą i na chwilę zastygliśmy w milczeniu.

Jakaś dziwna i niepojęta metodyczność nieznanego mordercy dodała nowej okropności jego zbrodniom. Moje nerwy, dość mocne na polu bitwy, zawodziły na myśl o tym przestępstwie.

– Zbrodniarza widziano – ciągnął Lestrade. – Chłopak mleczarza widział go idąc drogą za hotelem, wiodącą do obory. Zauważył on, że drabina, która tam zwykle leżała, tym razem stała oparta o mur przed jednym, szeroko otwartym oknem drugiego piętra. Minąwszy ją chłopak odwrócił się i ujrzał jakiegoś mężczyznę schodzącego po niej. Zstępował tak spokojnie, że chłopiec wziął go za cieślę czy stolarza pracującego w hotelu. Nie zwrócił więc na niego większej uwagi i pomyślał tylko, że ten rzemieślnik coś wcześniej wziął się do roboty. Przypomina sobie jednak, że ów człowiek był wysoki, czerwonawy na twarzy i że miał długie, brązowe palto. Po morderstwie musiał czas jakiś zabawić w pokoju, bo w miednicy została woda zaróżowiona od krwi po myciu rąk i plamy na prześcieradle, o które z całym spokojem otarł nóż.

Na ten opis mordercy, zgadzający się z tym, co mówił Holmes, spojrzałem na niego. Ale na jego obliczu nie dojrzałem żadnych oznak tryumfu czy zadowolenia.

– A w pokoju nie znalazł pan nic, co dałoby nam jakąś nić do ręki? – zapytał tylko.

– Nic. Stangerson miał w kieszeni sakiewkę Drebera, ale to zrozumiałe, bo jako sekretarz regulował wszelkie rachunki. Znaleźliśmy w niej osiemdziesiąt funtów w pojedynczych banknotach, których morderca nie tknął. Nie wiem, jakie są motywy tych tajemniczych zbrodni, ale z pewnością nie rabunek. Poza tym w kieszeniach ubrania nie było ani notatek, ani żadnych innych papierów z wyjątkiem depeszy sprzed miesiąca z Cleveland o takiej treści: „J. H. jest w Europie”. Żadnego podpisu nie było.

– I nic więcej? – pytał Holmes.

– Nic ważnego. Na łóżku leżała jakaś powieść, którą Stangerson czytał do poduszki, a na krześle obok – fajka. Na stole stała szklanka wody, a na parapecie okiennym znaleźliśmy lubiane pudełeczko po maści z paroma pigułkami.

Sherlock Holmes zerwał się z fotela z okrzykiem radości.

– Ostatnie ogniwo! – zawołał tryumfalnie. – Teraz mam już wszystko!

Obaj detektywi patrzyli na niego ze zdziwieniem.

– Trzymam już w ręku wszystkie nici tego węzła – mówił Holmes dufnym tonem. – Oczywiście niektóre szczegóły należałoby jeszcze wyjaśnić, jednakże jestem tak pewien najważniejszych wydarzeń od chwili, gdy Dreber rozstał się ze Stangersonem na dworcu, aż do śmierci tego ostatniego, jakbym był przy tym. Dam tego dowód. Czy może pan zdobyć te pigułki?

– Mam je przy sobie – odparł Lestrade wyjmując z kieszeni białe pudełeczko. – Zabrałem je wraz z portmonetką i telegramem, by je zdeponować w policji. Przyznaję, że tylko przez przypadek zabrałem pigułki, bo osobiście nie przywiązuję do nich najmniejszego znaczenia.

– Proszę mi je dać – powiedział Holmes. – Doktorze – zwrócił się do mnie – czy to są zwykłe pigułki?

Rzeczywiście różniły się od normalnych. Były perłowszare, małe, krągłe i pod światło niemal przezroczyste.

– Z ich lekkiej wagi i przezroczystości wnoszę, że w wodzie się rozpuszczają – powiedziałem.

– Zgadza się – rzekł Holmes. – Czy zechciałby pan zejść na dół i przynieść tu tego biednego schorowanego terierka, któremu gospodyni już wczoraj chciała skrócić cierpienia?

Zszedłem na dół i przyniosłem pieska. Jego ciężki oddech i szklisty wzrok mówiły, że niewiele już ma życia przed sobą, a siwy pyszczek wskazywał, że przekroczył zwykły okres psiego żywota. Położyłem terierka na poduszce rzuconej na dywan.

– Przepołowę jedną z nich – powiedział Holmes wyjmując scyzoryk i przecinając pigułkę. – Tę połówkę schowam do pudełka. Przyda nam się później. Drugą wrzucam do szklaneczki zawierającej łyżkę wody. Jak panowie widzą, nasz przyjaciel, doktor, miał rację: pigułka rozpuszcza się łatwo.

– Może to i ciekawe – odezwał się Lestrade urażonym tonem człowieka, który podejrzewa, że ktoś go bierze na kawał – ale nie widzę, by miało związek z zabójstwem Stangersona.

– Cierpliwości, drogi przyjacielu, cierpliwości! Przekona się pan z czasem, że jednak ma związek. Teraz dolewam odrobinę mleka dla smaku, podaję roztwór psu i panowie zobaczą, że wychłpcze go chętnie.

To mówiąc wylał zawartość szklaneczki na spodek i postawił przed psem, który szybko zliżał płyn do sucha. Holmes tak nas zahipnotyzował swą powagą, że siedzieliśmy w milczeniu i wpatrywaliśmy się w psa czekając na jakieś oszołamiające wydarzenia. Ale nic się nie stało. Pies, jak poprzednio, leżał wyciągnięty na poduszce, ciężko dysząc i ani mu się pogorszyło, ani polepszyło po łyku płynu.

Holmes wyjął zegarek i w miarę upływu minut, które nie przynosiły nic nowego, jego twarz przybierała coraz bardziej rozczarowany i zasmucony wyraz. Zagryzł wargi, palcami bębnił po stole i zdradzał wciąż rosnące zniecierpliwienie. Był tak podniecony, że zrobiło mi się go żal, a detektywi uśmiechali się lekceważąco, zadowoleni z jego niepowodzenia.

– To nie może być czysty przypadek! – zawołał wreszcie zrywając się z miejsca i gorączkowo przemierzając pokój. – To nie może być czysty przypadek. Te pigułki, których się domyślałem przy zabójstwie Drebbiera, znaleziono po śmierci Stangersona. A jednak są nieszkodliwe. Co to znaczy? Przecież nie mogłem się mylić. To niemożliwe! Lecz ten przeklęty pies wcale nie czuje się gorzej. Ach, mam, mam!

Z okrzykiem zadowolenia podskoczył do pudełeczka, przepołowił drugą pigułkę, rozpuścił ją w wodzie, dolał mleka i podsunął psu. Ledwie nieszczęsne zwierzę umoczyło koniuszek języka, zadrgało konwulsyjnie i wyciągnęło się martwe i sztywne, jakby rażone piorunem.

Sherlock Holmes odetchnął całą piersią i otarł pot z czoła.

– Powinienem być mieć więcej wiary – powiedział. – Warto, zeby już dziś wiedział, iż gdy jakiś fakt pozornie zaprzecza długiemu łańcuchowi dedukcji, dowodzi to tylko, iż należy wyszukać dla niego innego wytłumaczenia. Z tych dwóch pigulek w pudełeczku jedna była silnie trująca, a druga – zupełnie nieszkodliwa. Powinienem był to wiedzieć, zanim jeszcze ujrzałem pudełko.

Tak mnie zaskoczył tym oświadczeniem, że zacząłem się zastanawiać, czy aby jest przy zdrowych zmysłach. Ale na potwierdzenie jego słów miałem przed sobą zdechłego psa. Mgła zasnuwająca mój mózg powoli jęła się rozpraszać, a prawda stopniowo docierała do świadomości.

– To wszystko panów dziwi – kontynuował Holmes – z tej prostej przyczyny, że od razu nie dojrzelście tego jedyne i prawdziwego klucza do tajemnicy, który leżał przed wami. Mnie udało się go ujrzeć, a wszystkie późniejsze wydarzenia potwierdziły pierwotne przypuszczenie i w gruncie rzeczy rozwijały się w logicznej z nim zgodzie. Dlatego też wszystko, co was, panowie, peszyło i zaciemniało wam pogląd, mnie rozjaśniało sprawę i potwierdzało pierwsze wnioski. Błędem jest utożsamiać dziwne z tajemniczym. Najpospolitsza zbrodnia często może być najbardziej tajemnicza, jeśli nie ma w niej żadnej nowej czy specjalnej cechy, z której dałoby się wydedukować prawdę. To morderstwo byłoby o wiele trudniejsze do rozwikłania, gdyby ofiarę znaleziono po prostu na drodze bez tych wszystkich przesadnych i sensacyjnych okoliczności, które nadały mu niezwykły posmak. Te dziwaczne szczegóły, zamiast skomplikować zagadnienie, w istocie je uprościły.

Gregson, który słuchał tej przemowy bardzo niecierpliwie, nie mógł się dłużej powstrzymać.

– Panie Holmes – powiedział. – Chętnie przyznajemy, że pan jest bardzo mądry i że ma pan swą własną metodę pracy. Ale teraz chcielibyśmy czegoś więcej od teoretycznych rozważań i kazań. Tu chodzi o ujęcie zbrodniarza. Ja stworzyłem sobie pewien pogląd, zdaje się błędny. Młody Charpentier nie mógł być wmieszany w to drugie zabójstwo. Lestrade gonił za swoim domniemanym zabójcą, Stangersonem, i prawdopodobnie też się pomylił. Pan rzucił jakąś uwagę mimochodem i wygląda na to, że wie pan więcej od nas. Ale nadeszła chwila, kiedy mamy prawo zapytać pana prosto z mostu, co pan wie o tej zbrodni. Czy zna pan nazwisko mordercy?

– Zdaje się, że Gregson ma rację, proszę pana – podtrzymał go Lestrade. – Próbowaliśmy obaj i obu nam się nie udało. Od chwili, gdy wszedłem do tego pokoju, kilkakrotnie dał pan do zrozumienia, że trzyma pan w rękę wszystkie potrzebne nam dowody. Sądzę, że nie będzie pan z nich dłużej robił tajemnicy.

– Najmniejsza zwłoka w aresztowaniu mordercy – zauważyłem – pozwala mu przygotować nowe zbrodnie.

Holmes, przypierany przez nas do muru, wahał się widocznie. Dalej chodził po pokoju z opuszczoną głową i ściągniętymi brwiami, jak zawsze, gdy nad czymś głęboko dumiał.

– Nowych zbrodni nie będzie – powiedział zatrzymując się nagle i patrząc na nas. – Tego względu możemy nie brać pod uwagę. Pytaliście mnie, panowie, czy znam nazwisko mordercy. Owszem, znam. Ale samo nazwisko to jeszcze mało w porównaniu z ciężkim zadaniem ujęcia zbrodniarza. Myślę jednak, że niebawem to nastąpi. Spodziewam się go pochwycić własnymi siłami. Ale to delikatne zadanie, bo mamy do czynienia z chytrym i zdecydowanym na wszystko przeciwnikiem, któremu na dobitkę, jak się przekonałem, pomaga ktoś inny, nie mniej mądry od niego. Dopóki człowiek ten niczego się nie domyśla, mamy pewne szanse ujęcia go, ale wystarczy najmniejsze podejrzenie, a zmieni nazwisko i zginie w czteromilionowym mieście. Nie mam zamiaru panów urazić, ale muszę powiedzieć, że moim zdaniem, policja mu nie sprostą i dlatego nie zwracałem się do panów o pomoc. Jeśli mnie się nie uda, cała wina spadnie na mnie. Jestem na to przygotowany. Teraz zaś obiecuję panom, że w odpowiedniej chwili, kiedy bez szkody dla moich planów będę mógł nawiązać z panami kontakt, nawiążę go.

Z miny Gregsona i Lestrade'a jasno wynikało, że nie byli zadowoleni ani z tego zapewnienia, ani z mało pochlebnej oceny policji. Gregson zaczerwienił się aż po uszy, a małe oczka Lestrade'a rozbłysły ciekawością i żalem. Nie mieli jednak czasu odezwać się słowem, bo zapukano do drzwi i do pokoju wszedł przedstawiciel bezdomnych uliczników, młody Wiggins we własnej osobie.

– Proszę pana – powiedział dotykając palcami kosmyka włosów na czole – dorożka już zajechała.

– Zdolny chłopak – serdecznym tonem pochwalił go Holmes. – Czemu nie korzystacie z tego modelu w Scotland Yardzie? – ciągnął wyjmując z szuflady parę stalowych kajdanków. Spójrzcie, jak wspaniale działa sprężyna. Zaskakuje w mgnieniu oka.

– Stary model też jest dobry – zauważył Lestrade – jeśli ma się komu go założyć. – Doskonale, doskonale – uśmiechnął się Holmes. – Dorożkarz zabierze moje walizki. Wiggins, zawołaj go na górę.

Zdziwiłem się słysząc, że Holmes mówi o wyjeździe, o którym przedtem nie napomknął mi ani słowem. Wyciągnął teraz mały sakwojaż i począł zaciągać paski. Dorożkarz, który wszedł na górę, zastał go pochłoniętego tą pracą.

– Niech pan mi pomoże zapiąć sprzączkę – powiedział do niego Holmes klęcząc nad walizką i nie odwracając głowy.

Dorożkarz postąpił naprzód z nieco posepną i przekorną miną i wyciągnął ręce ku walizce. W tej chwili rozległ się ostry trzask, szczęknęło żelazo i Sherlock Holmes zerwał się na równe nogi.

– Panowie! – zawołał z błyszczącymi oczami. – Pozwólcie, że wam przedstawię Jeffersona Hope, zabójcę Enocha Drebbiera i Józefa Stangersona.

Wszystko to trwało sekundę, tak szybko, że nawet nie zdołałem się połapać w biegu wypadków. Żywo zapamiętałem tylko końcową scenę: tryumfujące oblicze Holmesa, dźwięk jego głosu, zdumioną i wściekłą minę dorożkarza spoglądającego na błyszczące kajdanki, które jednym magicznym ruchem zamknęły się na jego napięstkach. Przez sekundę czy dwie przypominaliśmy jakąś niemą rzeźbę. Wreszcie jeniec z nieartykułowanym okrzykiem wściekłości wyrwał się Holmesowi i skoczył ku oknu. Rama i szyby poszły w kawałki, ale nim zdołał wyskoczyć, dopadli go Gregson, Lestrade i Holmes, niczym trzy gończe psy. Odciągnęli go na środek pokoju, gdzie zavrzała desperacka walka. Zbrodniarz był silny i tak szalał, że co chwila wszyscy czterej odlatywaliśmy od niego jak piłki. Miał w sobie rozpaczliwą moc człowieka w epileptycznym ataku. Ręce i twarz pokieraszował sobie o zbitą szybę, ale upływ krwi go nie osłabił. Dopiero gdy Lestrade'owi udało się wcisnąć mu rękę za kołnierz i niemal udusić, przekonał się, że dalszy opór jest bezcelowy. Ale nie czuliśmy się pewni, dopóki nie związaliśmy mu i nóg. Wtedy usiedliśmy wyczerpani do cna.

– Mamy jego dorożkę – rzekł Holmes. – Zawieziemy go nią do Scotland Yardu. A teraz, panowie – ciągnął z miłym uśmiechem – doszliśmy już do końca naszej małej tajemnicy. Możecie mnie pytać, o co chcecie, bez obawy, że wam nie odpowiem.

CZEŚĆ DRUGA

Kraj świętych

VIII. Na wielkich, słonych równinach

W środku wielkiego kontynentu Ameryki Północnej leży jałowa, monotonna, odrażająca pustynia, która przez długie lata zagradzała drogę postępowi cywilizacji. Od Sierra Nevada do Nebraski i od rzeki Yellowstone na północy aż do Colorado na południu rozciąga się martwy, bezludny kraj. Na tym ponurym obszarze natura przybrała różnorodną postać. Są tu wyniosłe góry w śnieżnych kapach i mroczne, ponure doliny. Bystre potoki rwą skalistymi kanionami¹⁶. Rozległe równiny w zimie bieleją śniegiem, gdy latem pokrywa je szary, słony pył. Jałowość, niegościnnność i bieda charakteryzują cały krajobraz.

W tym kraju bezgranicznej rozpaczy nie ma żadnych ludzkich osiedli. Czasem przetnie go jakaś grupka Indian Pawnee¹⁷ lub z plemienia Czarnych Stóp w drodze na inne tereny łowieckie, ale nawet najdzielniejsi z dzielnych cieszą się, gdy zostawią za sobą groźną pustkę i znów znajdą się w swych rodzinnych preriach. Kojoty skradają się w karłowatych krzakach myszolów mozolnie tnie powietrze ciężkim ruchem skrzydeł, niezgrabny niedźwiedź grizli ospale snuje się po dolinach żywiąc się tym, co znajdzie wśród skał. To są jedyni mieszkańcy pustyni.

Na całym świecie nie znajdzie się bardziej ponurego widoku niż ten na północnych zboczach Sierra Blanco. Jak okiem sięgnąć ciągnie się wielka, monotonna płaszczyna przyprószona niekształtymi plamami solanek i upstrzona grupkami karłowatych, kłujących krzewów. Horyzont zamyka długi łańcuch poszarpanych górskich szczytów, białych od śniegu. Tu, na tym wielkim szmacie ziemi, nie widać żywego stworzenia, nie dojrzy się najmniejszego śladu życia. Żaden ptak nie buja na stalowo błękitnym niebie, nic się nie rusza na posepnej, szarej równinie – nad wszystkim zawisła głucha cisza. Z tej wielkiej pustyni najśłabszy dźwięk nie dotrze do naszego ucha: nic tylko cisza, kompletna, przejmująca lękiem cisza.

Jak już mówiliśmy, na tej olbrzymiej równinie nie ma znaków życia. Ale czy tak? Patrząc z Sierra Blanco ujrzemy szlak przetarty przez pustynię. Wije się on w dali i ginie na widnokręgu. Wyżłobiły go koła i wydeptały stopy licznych poszukiwaczy przygód. W promieniach słońca, na tle jednostajnie szarych, słonych złóż coś na nim błyszczy bielą. Podejdźcie i spójrzcie! To kości: jedne wielkie i grube, inne mniejsze i delikatne. Pierwsze to kości wołów, drugie – ludzkie. Rozsiane na przestrzeni tysiąca pięciuset mil, znaczą widmowy szlak karawan.

4 maja 1847 roku samotny wędrowiec patrzył z góry na tę scenę. Z wyglądu mógł być zarówno dobrym, jak i złym duchem tego kraju. Trudno było określić jego wiek, czy był bliżej czterdziestki czy sześćdziesiątki. Twarz miał wychudłą, znużoną, a sucha jak pergamin, brązowa skóra mocno obciągała wystające kości. Siwizna gęsto pobieliała mu kasztanowate włosy i brodę. Wpadnięte w głąb oczy płonęły gorączką. Ręka, zaciśnięta na strzelbie, przypominała rękę kościotrupa. Stojąc opierał się ciężko na swej broni, choć jego wysoka postać i gruby, masywny kościec świadczyły, że był człowiekiem rzadko krzepkim i silnym. Jednakże z zapadłych rysów i ubioru luźno wiszącego na wychudłych członkach łatwo było zgadnąć, czemu wyglądał tak starczo i nędznie. Człowiek ten umierał... umierał z głodu i pragnienia.

Z trudem włókł się doliną i wdrapywał na małe wzniesienia wypatrując daremnie jakiegoś śladu wody. Teraz widział przed sobą wielką, słoną równinę i odległe pasmo dzikich gór bez najmniejszego drzewka, które by mu zwiastowało wodę. W całym rozległym krajobrazie najmniejszego promyka nadziei. Badawczym, gorączkowym wzrokiem spoglądał więc na

¹⁶ K a n i o n – głęboka dolina lub wąwóz o prawie prostopadłych ścianach.

¹⁷ P a w n e e – konfederacja północno amerykańskich plemion indiańskich zamieszkujących równiny.

północ, wschód i zachód i zdał sobie sprawę, że doszedł do kresu wędrówki, że tu, na jałowej skale, przyjdzie mu zemrzeć.

– Można i tu, równie dobrze jak dwadzieścia lat temu na puchowej pościeli – mruknął siadając w cieniu pod głazem.

Lecz przedtem złożył na ziemi bezużyteczną strzelbę i dość duże zawiniątko z szarego szala, które niósł zawieszony na prawym ramieniu. Musiało ono za bardzo ciążyć jego nadwątłonym siłom, bo choć ostrożnie zsunięte z ramienia, dość silnie uderzyło o ziemię. Z szarego tłumocзка natychmiast rozległ się żalostny jęk i wyrzała wymęczona twarzyczka o piwnych oczach i dwie małe, piegowate piąstki z dołeczkami.

– Potłukłeś mnie! – z wyrzutem zabrzmiał dziecinny głosik.

– Potłukłem? Nieumyślnie – odparł człowiek pokornym tonem. To mówiąc rozsuptał szal i pomógł z niego wyjść ładniutkiej, mniej więcej pięcioletniej dziewczynce. Sądząc z jej eleganckich trzewiczków i wytwornej, bladuróżowej sukienki z małym, płóciennym fartuszkim, matka musiała bardzo o nią dbać. Dziecko było blade i zmęczone, choć pełne rączki i nóżki świadczyły, że wycierpiało znacznie mniej od swego towarzysza.

– Boli cię jeszcze? – z niepokojem zapytał mężczyzna, widząc, że mała wciąż pociera jasnozłote loki na tyle główki.

– Pocałuj, to przejdzie – odpowiedziała, z powagą pokazując na stłuczone miejsce. – Mamusia tak zawsze robiła. Gdzie jest mama?

– Matka odeszła. Pewnie już niedługo ją zobaczysz.

– Odeszła, ojej! – rzekła dziewczynka. – Dziwne, że się nie pożegnała. Zawsze mówiła do widzenia, nawet gdy szła do cici na herbatę, a teraz już jej nie ma od trzech dni. Jak tu strasznie sucho. Czy tu nie ma nic do picia i do jedzenia?

– Nie, kochanie, tu nie ma nic. Musisz być jeszcze trochę cierpliwa, potem już będzie ci dobrze. Oprzyj główkę o mnie, to ci troszkę ulży. Trudno mówić, gdy ma się język suchy jak podeszew, ale myślę, że lepiej wyłożyć ci wszystko jasno. Co tam masz?

– Jakie to ładne! – zawołała uradowana dziewczynka podnosząc dwa kawałki błyszczącej miki. – Gdy wrócimy do domu, dam to memu braciszкови Bobowi.

– Niebawem zobaczysz jeszcze ładniejsze rzeczy – z głęboką wiarą powiedział mężczyzna. – Tylko poczekaj troszkę. Właśnie chciałem ci powiedzieć... pamiętasz, jak opuszczaliśmy rzekę?

– O, tak.

– Liczyliśmy wtedy, widzisz, że wkrótce napotkamy inną rzekę. Ale coś zawiodło: kompas, mapa czy coś innego... dość, że nasze przypuszczenie się nie sprawdziło. Wody już nie było. Tylko parę kropel zostało... dla takich jak ty i... i...

– I nie mogłeś się myć? – z całą powagą przerwała mu mała towarzyszka spoglądając na jego brudną twarz.

– Nie, nie mogłem się nawet napić. Pierwszy odszedł Bender, potem Indianin Pete, pani McGregor i Johnny Hones, i wreszcie, kochanie, twoja matka.

– To mamusia umarła! – zawołała dziewczynka i chowając głowę w fartuszek, zaszlochała gorzko.

– Tak, wszyscy pomarli prócz ciebie i mnie. Wtedy pomyślałem sobie, że idąc w tym kierunku prędzej znajdę wodę. Wziąłem cię więc na ramię i wędrowaliśmy razem. Ale zdaje się, że to nie poprawiło sprawy. Pozostało nam diabelnie mało nadziei!

– Myślisz, że też umrzemy? – zapytało dziecko powstrzymując łkanie i unosząc zażawioną twarzyczkę.

– Myślę, że tym się to skończy.

– Czemuś tego od razu nie powiedział? – rzekła mała śmiejąc się radośnie. – Takeś mnie przestraszył. Przecież, gdy umrzemy, będziemy znów z mamusią.

– Tak, będziesz, kochanie.

– I ty też. Powiem jej, jaki byłeś dobry. Zobaczysz: powita nas w drzwiach nieba z wielkim dzbanem wody i pełną tacą hreczanych placków, gorących, przypieczonych po obu bokach, tak jak Bob i ja lubimy. Kiedy już tam będziemy?

– Nie wiem, chyba niedługo – mężczyzna wpatrywał się w horyzont na północy. Na błękitnym stropie nieba ukazały się trzy małe kropeczki. Zbliżały się tak szybko, że rosły w oczach z minuty na minutę. Wkrótce zamieniły się w trzy wielkie, ciemne ptaki, które zakolowały nad głowami wędrowców i wreszcie siadły na skale nad nimi. Były to myszołowy, sępy zachodu, zwiastuny śmierci.

– Koguty i kury – zawołała radośnie dziewczynka wskazując na złowieszcze ptaki i klaszcząc w ręce, by je spłoszyć. – Powiedz, czy to Bóg stworzył ten kraj?

– Oczywiście – odparł mężczyzna zaskoczony tym niespodziewanym pytaniem.

– On stworzył Illinois i On stworzył Missouri – ciągnęła dziewczynka. – Ale ten kraj stworzył ktoś inny, bo tu nie jest tak ładnie. Zapomniano o wodzie i o drzewach.

– A może byśmy się pomodlili, co? – nieśmiało zaproponował mężczyzna.

– Przecież to nie noc – odparła mała.

– Cóż to szkodzi? Może to nie będzie zupełnie prawidłowo, ale On ci tego nie weźmie za złe, możesz być pewna. Zmów te modlitwy, które mówiłaś w wozie, tam na równinach.

– A dlaczego ty sam ich nie zmówisz? – patrząc na niego zdziwionymi oczami zapytała dziewczynka.

– Bo ja już zapomniałem. Nie odmawiałem żadnej od czasu, gdy byłem tak mały jak pół tej strzelby. Ale chyba nigdy nie jest za późno. Ty będziesz mówiła, a ja będę powtarzał za tobą.

– To klęknij koło mnie – powiedziała rozścielając szal na ziemi. – Musisz złożyć ręce o tak. To ci trochę pomoże.

Gdyby tam był ktoś inny prócz myszołowów, ujrzałby dziwny widok. Ramię w ramię, na rozłożonym wąskim szalu, klęczało dwoje wędrowców: małe, szczebioczące dziecko i śmiały, zahartowany w trudach poszukiwacz przygód. Kragła twarzyczka dziecka i surowe, wychudłe oblicze mężczyzny zwróciły się ku bezchmurnemu niebu, serdecznie prosząc o ratunek tę groźną Istotę, z którą stanęli teraz oko w oko. Dwa głosy – cienki i czysty oraz głęboki i ochrypy – złączyły się w błaganie o łaskę i przebaczenie. Po skończonej modlitwie oboje znów siedli w cieniu głazu. Dziecko usnęło złożony głowę na piersi swego opiekuna, a on czas jakiś czuwał nad snem małej, aż w końcu i jego sen zmorzył. Przez trzy dni i trzy noce nie zmrużył oka i nie wypoczywał ani chwili. Powieki wolno opadły mu na zmęczone oczy, głowa coraz niżej pochylała się na pierś, aż wreszcie szpakowata broda dotknęła złotych kędziorów dziewczynki. Oboje zasnęli twardo, bez snów.

Gdyby podróżny czuwał jeszcze z pół godziny, ujrzałby dziwny widok. Daleko na krańcu słonej pustyni wzbil się mały obłoczek kurzu. Powstawał powoli i trudno go było odróżnić od mgiełki nad horyzontem. Stopniowo jednak rósł i wreszcie zamienił się w wyraźną, wielką chmurę. Powiększała się ona bezustannie i w końcu stało się widoczne, że są to tumany kurzu wznieconego przez gromadę poruszających się żywych stworzeń. Na urodzajnej ziemi myślałoby się, że to biegnie jedno z wielkich stad bizonów, pasących się w prerii. Ale tu, na jałowej pustyni, było to niemożliwe. W miarę zbliżania się kłębow kurzu do samotnej, stromej skały, na której wypoczywało dwoje wędrowców, zza tumanu gęstego pyłu poczęły przegłądać płócienne dachy wozów i sylwetki zbrojnych jeźdźców. Odległe początkowo widziadło jęło przybierać wyraźną postać wielkiej karawany ciągnącej na zachód. Cóż to była za karawana! Gdy jej czoło dotarło do podnóża gór ogon ginął na horyzoncie. Niezmierzoną równiną ciągnęły rozproszone szeregi krytych wozów, jeźdźców i pieszych. Tłumy kobiet szły chwając się pod ciężarem ładunku; dzieci, niepewnymi kroczkami, dreptały przy wozach lub wyglądały spod ich białych dachów. Nie była to zwykła grupa imigrantów, lecz całe koczownicze plemię, zmuszone do szukania sobie nowej siedziby. W jasnej ciszy rósł gwar licznych

ludzkich głosów, pomieszany ze skrzypieniem kół i rżeniem koni. Lecz nawet i ten hałas nie zdołał zbudzić wędrowców śpiących na skale nad karawaną. Na jej czele jechało ze dwudziestu jeźdźców, o poważnych rysach. Nosili ciemne, samodziałowe ubrania i zbrojni byli w strzelby. Dotarłszy pod skałę przystanęli na krótką naradę.

– Źródła leżą na prawo, bracia – powiedział jeden z nich, mężczyzna o wąskich ustach, gładko wygolonej twarzy i szpakowatych włosach.

– Na prawo od Sierra Blanco... dotrzemy do Rio Grande – odezwał się drugi.

– Nie lękajcie się o wodę – wykrzyknął trzeci. – Ten, co kazał jej trysnąć ze skały, nie opuści swego wybranego ludu.

– Amen! Amen! – powtórzyli wszyscy chórem.

Już mieli ruszyć, gdy jeden z młodszych i bardziej bystrookich krzyknął ze zdumienia. Ręką wskazał na zębaty brzeg skały nad nimi. Tam, u jej wierzchołka, słabo powiewał mały, różowy strzępek materii, dobrze widoczny na szarym tle skał. Na ten widok jeźdźcy ze straży przedniej wstrzymali konie i porwali za strzelby, a ich towarzysze przygalopowali im na pomoc. Słowo „czerwonoskórzy” było na ustach całej karawany.

– Tu nie może być Indian – rzekł starszy mężczyzna, widocznie dowódca. – Pawnee zostali za nami, a na inne plemiona możemy się dopiero natknąć po przejściu wielkich gór.

– Czy mam zobaczyć, bracie Stangerson? – zapytał jeden z grupki konnych.

– I ja z tobą, i ja – odezwało się parę głosów.

– Zostawcie konie na dole. My poczekamy tu na was – odparł zapytany.

W mgnieniu oka młodzieńcy zeskoczyli z siodeł, przywiązali konie i poczęli się wspinać po stromym zboczu ku przedmiotowi, który obudził ich ciekawość. Wdzierali się szybko i cicho, zręcznie i wprawnie, jak przystało doświadczonym zwiadowcom. Patrzący z dołu widzieli, jak zwinnie i lekko przeskakiwali ze skały na skałę, aż wreszcie stanęli na jasnym tle nieba. Prowadził ich młodzieniec, który zaalarmował karawanę. Idący za nim ujrzeni, że nagle wzniosł ręce w górę, jakby ogarnięty niezmiernym zdziwieniem. A gdy doszli do niego, stanęli nie mniej zdziwieni widokiem, który mieli przed sobą.

Na małej skalnej platformie u samego szczytu gołej góry wyrastał samotny, potężny głaz, pod którym leżał wysoki, brodaty mężczyzna o ostrych rysach twarzy, chudy jak szczapa. Spokój malujący się na jego obliczu i głęboki oddech świadczyły, że mocno śpi. Przy nim spoczywała mała dziewczynka. Krągłymi, białymi ramionkami otoczyła śniadą, muskularną szyję mężczyzny, a złotowłosą główkę oparła na jego piersi okrytej aksamitną kurtką. Czerwone usteczka rozchyliły się ukazując rząd śnieżnobiałych, równych ząbków. Radosny uśmiech rozjaśnił dziecinnie rysy twarzyczki. Pulchne, białe nóżki w białych skarpetkach i eleganckich trzewiczkach z błyszczącymi klamrami rażąco kontrastowały z wychudłymi członkami jej towarzysza. Na skalnym występie nad tą dziwną parą siedziały trzy napuszone myszołowy, które na widok świeżo przybyłych wrzasnęły, rozczarowane, i odleciały ociężale.

Ochryple krakanie ptaków zbudziło śpiących. Na pół przytomnie rozejrzeli się wkoło. Mężczyzna chwiejąc się wstał i spojrzął w dół na równinę głuchą i pustą, gdy zasypiał, a teraz pełną ludzi i zwierząt. Zdawał się nie wierzyć własnym oczom. Zdziwiony przetarł je kościstą ręką: – To się chyba nazywa fata morgana – mruknął. Dziewczynka stała przy nim trzymając się brzegu jego kurtki i w milczeniu rozglądała się zdziwionym, dziecinnie ciekawym spojrzeniem.

Młodzi ratownicy szybko zdołali przekonać zagubionych w pustyni wędrowców, że nie są żadnym przywidzeniem. Jeden z nich wziął dziewczynkę na ramię, inni podtrzymali jej wycieńczonego towarzysza i tak poprowadzili ich do jednego z wozów.

– Nazywam się John Ferrier – powiedział wędrowiec. – Ja i ta mała to wszystko, co pozostało z dwudziestu jeden ludzi. Reszta pomarła z głodu i pragnienia tam, na południu.

– Czy to twoje dziecko? – zapytano.

– Teraz jest moje – wyzywająco odparł wędrowiec. – Jest moje, bo je uratowałem. Nikt mi jej nie odbierze. Od dziś nazywa się Lucy Ferrier. Lecz coście za jedni? – ciągnął przyglądając się ciekawie swym zaprawionym w trudach, ogorzałym zbawcom. – Ależ was tu sporo!

– Bez mała dziesięć tysięcy – odparł jeden z młodzieńców. Jesteśmy prześladowanymi dziećmi Boga... Wybrańcami anioła Moroni.

– Nigdy nie słyszałem o takim – rzekł na to wędrowiec. – Wybrał sobie jednak niezły tłumek.

– Nie żartuj z rzeczy świętych – poważnie odpowiedział tamten. – My należymy do ludzi wierzących w święte pisma wyrte po egipsku na płytach z kutego złota, objawionych świętemu Józefowi Smithowi pod Palmirą¹⁸. Idziemy z Nauvoo w stanie Illinois, gdzie wzniesiliśmy naszą świątynię. Szukamy schronienia przed gwałtownikami i niewierzącymi, nawet gdybyśmy je mieli znaleźć w samym sercu pustyni.

Nazwa Nauvoo musiała coś powiedzieć Johnowi Ferrier.

– Rozumiem – rzekł. – Jesteście mormonami¹⁹.

– Jesteśmy mormonami – chórem potwierdzili młodzieńcy.

– I dokąd idziecie?

– Nie wiemy. Bóg nas prowadzi przez swego proroka. Musicie pójść do niego. On powie, co z wami zrobić.

Tymczasem zeszli z góry. Otoczył ich tłum pielgrzymów: blade, łagodne kobiety, zdrowe, roześmiane dzieci, mężczyźni o poważnym spojrzeniu. Na widok małego dziecka i niezmiernie wyczerpanego mężczyzny odezwały się okrzyki zdumienia i współczucia. Ale młodzieńcy eskortujący obcych nie zatrzymali się, tylko szli dalej, a tłum mormonów towarzyszył im aż do wozu, który wyróżniał się od innych wielkością i ozdobami. Ciągnęło go sześć koni, gdy pozostałe zaprzężone były w dwa lub co najwyżej w cztery. Obok woźnicy siedział mężczyzna może trzydziestoletni, jednakże stanowczy wyraz oblicza zdradzał w nim wodza. Czytał jakąś księgę w brązowej skórzanej oprawie, którą odłożył na widok zbliżającego się tłumy, i uważnie wysłuchał sprawozdania z wydarzenia. Potem zwrócił się do wędrowców:

– Możemy was zabrać jedynie jako wyznawców naszej wiary – powiedział uroczyście. – Nie chcemy wilków w naszym stadzie. Niech lepiej wasze kości zbieleją na pustyni, aniżeli byście mieli stać się małą plamką zgnilizny, która z czasem obejmie cały owoc. Czy na tych warunkach pójdziecie z nami?

– Pójdę z wami na każdych warunkach – odrzekł Ferrier z takim zapalem, że starsi, mimo całej powagi, nie zdołali powstrzymać uśmiechu. Tylko ich wódz zachował uroczystą powagę.

– Weźmiesz go, bracie Stangerson – powiedział. – Nakarmisz go i napoisz. I dziecko też. I nawrócisz ich na naszą świętą wiarę. Dość już straciliśmy czasu. Naprzód! Naprzód do Syjonu!

– Naprzód do Syjonu! – wykrzyknęli mormoni, a te słowa podawane z ust do ust przebiegły wzdłuż karawany i zamarły w oddali. Przy klaskaniu batów, ze skrzypem kół wielkie furgony ruszyły z miejsca i wkrótce ich długi wąż znów zaczął się wić po pustyni. Ten ze starszych, którego opiece powierzono zbłąkanych wędrowców, zaprowadził ich do swego wozu, gdzie czekał już na nich posiłek.

– Zostaniecie tutaj – powiedział. – W kilka dni odzyskacie siły. A tymczasem pamiętajcie, że od dziś już na zawsze jesteście wyznawcami naszej wiary. Powiedział to Brigham Young, a przez jego usta Józef Smith przemawiał głosem Boga.

¹⁸ Według wierzenia mormonów anioł we wrześniu 1823 r. Miał kazać J. Smithowi kopać na pagórku pod Palmirą w ówczesnym hrabstwie New York. Smith znalazł tam święte tablice ze złota, które anioł zezwolił mu wydobyć dopiero 22 września 1827 roku.

¹⁹ M o r m o n i – członkowie amerykańskiej sekty religijnej, założonej w 1827 r.; nazwa pochodzi od „proroka” Mormona. Wśród mormonów panowało wielożeństwo zniesione dopiero w 1882 r.

IX. Kwiat Utahu

Nie będziemy tu opisywali trudów i znojów, które musieli znieść mormoni w drodze do celu swej wędrówki. Ciągnąc znad brzegów Missisipi do zachodnich zboczy Gór Skalistych, walczyli z uporem, jakiego chyba nie zna historia. Z istic anglosaską wytrwałością pokonali dzikiego człowieka i drapieżne zwierzę, przezwyciężyli głód, pragnienie, wyczerpanie i choroby, słowem, każdą przeszkodę, którą natura postawiła na ich drodze. Jednakże długa wędrówka i straszne przeżycia wstrząsnęły nawet najmocniejszymi z nich. Gdy więc ujrzeli w dole skapaną w słońcu, szeroką dolinę Utahu i usłyszeli z ust swego wodza, że to jest ta ziemia obiecana, której dziewicze obszary na zawsze już pozostaną w ich posiadaniu, padli na kolana w dziękczynnej modlitwie.

Young niebawem okazał się równie zdolnym administratorem, jak dzielnym wodzem. Nakreślono plany i mapy nowego miasta. Naokoło wydzielono farmy różnej wielkości i oddano je mormonom według ich powagi i znaczenia. Kupcy zajęli się handlem, rzemieślnicy – rzemiosłem. W mieście, jak na skinienie czarodziejskiej różdżki, wyrastały ulice i place. Drenowano i gradzono ziemię, karczowano lasy i obsiewano pola, tak że już najbliższego lata rozłociły się one pszenicą. W tym dziwnym mieście mormonów szczęściło się ludziom. A nad wszystkim coraz wyżej i szerzej rosła świątynia Pańska budowana w środku miasta. Od brasku do zmroku stukwały młotki i zgrzytały piły przy tej monumentalnej budowie, stawianej przez mormonów na znak wdzięczności dla Tego, który ich wywiódł z tyłu niebezpieczeństw.

John Ferrier i dziewczynka, którą adoptował i która dzieliła jego losy, towarzyszyli mormonom do końca ich pielgrzymki. Mała Lucy Ferrier odbyła całą drogę dość wygodnie w furgonie Stangersona, w którym jechały trzy żony mormona i jego syn, uparty, rozpuszczony, dwunastoletni chłopiec. Z dziecięcą łatwością zapomniawszy o bólu po stracie matki, Lucy szybko stała się ulubienicą kobiet i pogodziła się z nowymi warunkami życia w ruchomym, krytym płótnem domu. Tymczasem Ferrier, który szybko odzyskał siły po przeżytych trudach i cierpieniach, dał się poznać jako nieoceniony zwiadowca i niezmordowany myśliwy. Tak szybko zdobył sobie uznanie swych nowych towarzyszy, że zaraz po zakończeniu wędrówki jednomyślnie postanowili oni obdzielić go takim wielkim szmatem urodzajnej ziemi, jakiego nie dali nikomu prócz samego Younga i czterech głównych starszych: Stangersona, Kimballa, Johstona i Drebera.

Na zdobytej w ten sposób farmie John Ferrier wybudował masywny dom z bali, który z czasem, dzięki wielu przybudówkom, przerodził się w wielopokojowy dwór. John Ferrier był człowiekiem praktycznym, śmiałym w poczynaniach i zręcznym w rękach. Żelazne zdrowie pozwalało mu pracować od rana do nocy na swej ziemi. Dzięki temu jego farma i cała posiadłość była wyjątkowo dobrze zagospodarowana. Po trzech latach stał lepiej od wszystkich sąsiadów, po sześciu był zamożny, po dziewięciu – bogaty, a po dwunastu nie znalazłoby się nawet czterech ludzi w całym Salt Lake City, którzy by mu dorównali. Od tego wielkiego lądowego morza²⁰ aż po odległe góry Wahsatch nazwisko Johna Ferrier było najlepiej znane ze wszystkich.

Lecz pod jednym względem – i tylko pod tym jednym – raził on swych wrażliwych współwyznawców. Żadnym argumentem, żadnymi namowami nie dał się skłonić do założenia rodziny na wzór mormoński. Nigdy nie uzasadnił rzeczowo swego zaciętego uporu, ale zdecydowanie i nieugięcie obstawał przy swoim. Jedni uważali, że jego upór wynika z obo-

²⁰ S a l t L a k e C i t y – leży nad Wielkim Słonym Jeziorem, którego powierzchnia mierzy 2300 mil.

jętności do świeżo przyjętej wiary, inni zaś – że z chciwości i skąpstwa. Jeszcze inni przebakowali o jakiejś młodzieńczej miłości i jasnowłosej dziewczynie, która umarła z tęsknoty gdzieś nad brzegami Atlantyku. Tak, czy owak, Ferrier został kawalerem, choć pod każdym innym względem stosował się do kanonów wiary młodych osadników i uchodził za wiernego i prawego mormona.

Lucy Ferrier rosła w bierwionowym domu i pomagała przybranemu ojcu we wszystkim. Ostre górskie powietrze i balsamiczny zapach jodeł były jej wychowawczynią i matką. Z biegiem lat stawała się coraz wyższa i silniejsza. Jej policzki nabierały rumieńców, a krok – elastyczności. Niejeden z przejezdnych zdążających drogą, która przechodziła koło farmy Ferriera, na długo zachował w pamięci obraz młodej dziewczyny biegającej wśród łąnów pszenicy. Czasem widywano ją konno na ojcowskim mustangu²¹, którym powodowała bez trudu i z gracją prawdziwego dziecka Zachodu. Tak więc pączek rozwinął się w kwiat i w owym roku, kiedy jej ojciec stał się jednym z najbogatszych farmerów, ona przeistoczyła się w tak piękny okaz amerykańskiego dziewczęcia, jaki nie miał chyba sobie równego na całym wybrzeżu Oceanu Spokojnego.

Lecz to nie jej ojciec dostrzegł pierwszy, że dziecko wyrosło na kobietę. Na ogół ojcowie rzadko to widzą. Ta zmiana jest zbyt subtelna, by mierzyć ją datami. A najrzadziej dostrzega ją sama dziewczyna. I dopiero gdy ton głosu czy dotyk ręki wprawi w drżenie jej serduszko, dowiaduje się z dumą i lękiem zarazem, że zbudziła się w niej nowa, bogatsza istota. Rzadko która nie pamięta owego dnia czy małego wydarzenia, jak kamień milowy znaczącego początek nowego życia. Dla Lucy Ferrier to wydarzenie samo przez się było wystarczająco ważne, że pominiemy już jego wpływ na jej własny los i los bliskich jej ludzi.

Miało to miejsce pewnego upalnego czerwcowego ranka. Mormoni krzatali się pracowicie jak pszczoły, których ul obrali sobie za emblemat. Nad polami i ulicami stał monotony, pracowity ludzki gwar. Kurzliwymi gościńcami ciągnęły na zachód szeregi juczych mułów, bo droga do Kalifornii, gdzie rozpoczęła się gorączka złota, biegła przez miasto Wybrańców Boga. I w nim zresztą tłoczno było od stad owiec i wołów pędzonych z odległych pastwisk, od nie kończących się kolumn wozów ze zmęczonymi imigrantami, od ludzi i koni jednakowo wyczerpanych długą i uciążliwą drogą. Lucy Ferrier z wprawą wytrawnego jeźdźca galopowała przez ten różnobarwny i różnoraki tłum. Wysilek zarumienił jej twarzyczkę, a wiatr rozwiał kasztanowate włosy. Ojciec wysłał ją z jakimś poleceniem do miasta, toteż z nieustraszoną odwagą młodości pędziła co koń wyskoczy, myśląc tylko, co i jak ma załatwić. Pokryci kurzem podróżni patrzyli na nią nie ukrywając zdziwienia, a zimnokrwieści Indianie, opatuleni w skóry, zapomnieli o swej zwykłej obojętności i rozkoszowali się widokiem pięknej, bladoliciej dziewczyny.

Lucy dotarła już do skraju miasta, gdy nagle drogę zagrodziło jej wielkie stado bydła pędzonego przez sześciu dzikich pastuchów z równin. Niecierpliwa dziewczyna próbowała przebyć przeszkodę kierując konia w lukę w stadzie. Ale ledwie w nią wjechała, bydło skupiło się znowu i dziewczyna znalazła się w samym środku żwawo płynącego potoku długorogich i dzikich wołów. Nawykła do bydła, nie zlekła się niebezpieczeństwa. Umiejętnie wykorzystywała każdą okazję, by pchnąć konia naprzód i przebić się przez stado. Na nieszczęście jedno ze zwierząt, niechcący czy umyślnie, silnie drasnęło rogiem bok konia, co wprawiło go w istny szal. W mgnieniu oka, chrapiąc z gniewu, stanął dęba i począł się tak miotać i skakać, że tylko bardzo doświadczony jeździec mógłby utrzymać się w siodle. Sytuacja zaczęła być groźna. Podniecony koń przy każdym skoku nadziewał się na rogi, co doprowadzało go do nowego szału. Dziewczyna mogła tylko starać się utrzymać w siodle, bo gdyby się ześliznęła na ziemię, zginęłaby pod kopytami ciężkich i przerażonych zwierząt. Niedoświadczona w nagłych niebezpieczeństwach, dostała zawrotu głowy, a cugle poczęły się wymykać jej z rąk. Dusząc się tumanami kurzu i zaduchem bijącym od rozszalałych zwierząt, byłaby już zanie-

²¹ M u s t a n g – dziki koń amerykański.

chała walki, gdyby nie dodał jej ducha czyjś zbawczy głos tuż obok. W tej samej chwili muskularna, smagła ręka chwyciła przerażonego konia za uzdę od munsztuka i jakiś mężczyzna, torując sobie drogę przez stado, wywiódł zeń Lucy.

– Spodziewam się, panienko, że się pani nie stało nic złego – z szacunkiem powiedział zbawca.

Lucy spojrzała na jego śniadą, surową twarz i roześmiała się wesoło.

– Okropnie się przestraszyłam – powiedziała z prostotą. – Kto by pomyślał, że Poncho tak się przerazi stada krów.

– Całe szczęście, że pani nie zleciała z siodła – poważnie odparł mężczyzna. Był to wysoki młodzieniec na silnym dereszku, ubrany w prosty myśliwski strój; długa strzelba wisiała mu za plecami.

– Pani musi być córką Johna Ferrier – zauważył. – Widziałem, jak wyjeżdżała pani z jego farmy. Kiedy go pani zobaczy, niech go pani zapyta, czy sobie przypomina Jeffersona Hope'a z St Louis. Jeśli to ten sam Ferrier, to mój ojciec i on byli przyjaciółmi.

– A może pan by go sam o to zapytał? – rzekła Lucy z niewinną minką.

Młodzieńcowi musiała spodobać się ta propozycja, bo oczy zapłonęły mu radością.

– Dobrze, przyjdę. Dwa miesiące siedzieliśmy w górach i w tym stanie nie bardzo nadaję się do wizyty, ale ojciec pani będzie się musiał z tym pogodzić.

– Winien panu wdzięczność. I ja też. Bardzo mnie kocha. Nie przeżyłby tego, gdyby te bydła mnie stratowały.

– I ja też – powiedział młodzieniec.

– Pan? Nie zdaje mi się, żeby to miało dla pana takie znaczenie. Pan nawet nie należy do grona naszych przyjaciół.

Na te słowa młodzieniec tak spochmurniał, że Lucy wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Nie, źle się wyraziłam. Oczywiście teraz jest pan naszym przyjacielem. Musi pan nas odwiedzić. A teraz jadę dalej, bo ojciec gotów mi już nigdy więcej nie powierzyć żadnej sprawy. Do widzenia!

– Do widzenia! – odparł unosząc szerokie sombrero²² i pochylając się nad jej małą rączką, ona zaś w miejscu zawróciła mustanga, zacięła go pejczem i zniknęła na szerokim gościńcu w tumanach kurzu.

Młody Jefferson Hope, ponury i zamyślony, pojechał dalej ze swymi towarzyszami. Razem z nimi szukał srebra w górach Nevady i teraz wracał do Salt Lake City, by zdobyć pieniądze na eksploatację wykrytych złóż. Ta sprawa zaprzętała mu głowę, jak żadnemu z nich, dopóki nagle wydarzenie na drodze nie skierowało jego myśli w innym kierunku. Widok młodej, pięknej dziewczyny, tak świeżej jak powiew wiatru z Sierra, poruszył do głębi jego zapalne, nieposkromione serce. Kiedy Lucy zniknęła mu z oczu, pojał jasno, że w jego życiu coś się zmieniło, że ani spekulacja srebrem, ani żadna inna rzecz na świecie nie będzie już miała dla niego takiego znaczenia jak ta, tylko co poznana dziewczyna. Miłość, jaką zapłonęło jego serce, nie była nagłym, płochym, młodzieńczym kaprysem, lecz raczej szaloną, niepohamowaną namiętnością człowieka silnej woli i władczego charakteru. Przywykł do powodzenia we wszystkim. Przysiągł sobie, że i tym razem uporem i wytrwałością dopnie celu, jeśli to tylko leży w ludzkiej mocy.

Tego jeszcze wieczoru odwiedził Johna Ferrier, a później bywał u niego częstym gościem, aż w końcu stał się niemal domownikiem. John, zagrzebany w dolinie, po uszy zatopiony w pracy, od dwunastu lat stracił kontakt ze światem; żywe opowiadania Jeffersona Hope potrafiły zainteresować również i Lucy. Hope był jednym z pierwszych poszukiwaczy złota w Kalifornii i opowiadał przedziwne historie o fortunach, co wyrastały w mgnieniu oka i w mgnieniu oka topniały w owe dni łagodne, a zarazem pełne gorączkowego napięcia. Był zwiadowcą i traperem, dobywał srebro i hodował bydło. Gdzie zapachniało przygodą, tam zaraz zjawiał

²² S o m b r e r o – hiszpański kapelusz o szerokim rondzie.

się Jefferson Hope. Stary farmer polubił go szybko i pod niebiosy wynosił jego zalety. W takich chwilach Lucy siedziała cichutko, lecz rumieniec na policzkach i rozpromienione, szczęśliwe oczy aż nadto wyraźnie mówiły, że nie jest już panią własnego serca. Jej zacny ojciec mógł nie widzieć tych symptomatycznych objawów, ale na pewno nie uszły one uwagi młodzieńca, który zdobył jej miłość.

Pewnego letniego wieczoru przygalopował na farmę i osadził konia przed bramą. Lucy, która stała w drzwiach domu, wyszła mu na spotkanie. Jefferson Hope zarzucił cugle na ogrodzenie i ruszył ku niej ścieżką.

– Wyjeżdżam, Lucy – powiedział biorąc jej rękę w swoją dłoń i czule patrząc w jej twarzyczkę. – Nie proszę cię, byś jechała ze mną, ale czy gotowa jesteś towarzyszyć mi, gdy wrócę?

– A kiedy wrócisz? – zapytała rumieniąc się i śmiejąc.

– Za dwa miesiące najdalej. Wrócę i poproszę o twoją rękę, kochana. Nikt mi cię nie odbierze.

– A co ojciec? – zapytała.

– Zgodził się pod warunkiem, że powiesz się nam ze srebrem. Ale o to mnie głowa nie boli.

– Och, nie ma więc o czym mówić, skoro już tak ułożyliście z ojcem – szepnęła opierając główkę na jego piersi.

– Dzięki Najwyższemu! – rzekł ochryplym ze wzruszenia głosem i schyliwszy się pocałował ją. – A więc postanowione. Im dłużej tu zostanę, tym trudniej będzie mi odejść. Towarzy-sze czekają na mnie w kanionie. Do widzenia, ukochana, do widzenia! Za dwa miesiące zobaczymy się znowu.

Z tymi słowami oderwał się od niej, wskoczył na siodło i jak szalony pogalopował przed siebie. Nie obejrzał się nawet, jakby się bał, że zawiodą go siły, jeśli choć raz jeszcze spojrzy na kobietę, od której odjeżdżał. Ona zaś stała przy bramie odprowadzając go wzrokiem, póki zupełnie nie zniknął jej z oczu. A potem wróciła do domu – najszcześniejsza dziewczyna w Utah.

X. John Ferrier rozmawia z prorokiem

Upłynęło trzy tygodnie od wyjazdu Jeffersona Hope i jego towarzyszy z Salt Lake City. W Johnie Ferrier serce zamierało na myśl o powrocie młodzieńca i związaną z tym, nieuchronną rozłąką z przybraną córką. Lecz jej rozpromieniona i szczęśliwa twarzyczka godziła go z tym zameściem, bardziej niż jakikolwiek inny argument. Od dawna już twardo postanowił w swym nieulekłym sercu, że za nic nie zgodzi się wydać córki za mormona. Nie uznawał takiego małżeństwa i zapatrywał się na nie jak na coś hańbiącego i uwłaczającego ludzkiej godności. Cokolwiek myślał o religii mormonów, na tym punkcie był nieubłagany. Musiał jednak milczeć jak zaklęty, bo w owych czasach niebezpiecznie było zdradzić się w kraju mormonów ze swą nieprawomyślnością.

Tak, było niebezpiecznie... tak niebezpiecznie, że nawet najświętsi ze świętych jedynie szeptem, z zapartym oddechem odważali się wyrażać swe zdanie, z obawy, iż jakieś nieopatrzne słowo może być źle zrozumiane i ściągnie na nich natychmiastową karę. Ofiary prześladowania same stały się teraz prześladowcami i to nie przebierającymi w środkach. Ani sewilska inkwizycja, ani niemieckie Fehmgerichty, ani tajne organizacje włoskie nie zdołały puścić w ruch tak strasznej maszyny jak ta, która rzuciła cień na cały stan Utah.

Nieuchwytność i tajemniczość tej organizacji czyniły ją podwójnie straszną. Wydawała się wszechpotężna i wszechwiedząca, ale nie było jej ani widać, ani słyhać. Człowiek, który odważył się wystąpić przeciw kościołowi, ginął i nikt nie potrafił powiedzieć, co się z nim stało. Żona i dzieci czekały nań w domu, ale nie zdarzyło się, by wrócił i powiedział, co go spotkało ze strony tajemniczych sędziów. Nie przemyślane słowo czy nieogledny czyn pociągały za sobą zagładę, a nikt nie umiał powiedzieć, na czym polegała ta okropna siła, która zaciążyła nad wszystkimi. Nic więc dziwnego, że ludzie chodzili wystraszeni i na największym nawet pustkowiu słowem bali się zdradzić trapiące ich wątpliwości.

Początkowo ta tajemnicza i straszna potęga ściagała tylko tych mało pokornych, którzy przyjąwszy wiarę mormonów chcieli ją zreformować albo porzucić. Wkrótce jednak rozszerzyła swój zasięg. Dojrzałych kobiet było mało, a zatem wielożeństwo pozostawało czystą teorią. Dziwne pogłoski poczęły więc krążyć na ten temat; opowiadano sobie o pomordowanych imigrantach, o napadach i porwaniach z obozów tam, gdzie nigdy dotąd nie widziano Indian. Jakieś nowe kobiety pokazały się w haremach starszych braci: zapłakane, zmizerowane, nosiły na twarzach ślady nieustannego przerażenia. Zapóźnieni w górach podróźni opowiadali o bandach zbrojnych, zamaskowanych ludzi, którzy bez szelestu, jak duchy, przemylkali w ciemnościach. Te początkowo niejasne pogłoski nabrały później wyraźnego kształtu, a powtarzane raz po raz, przybrały wreszcie konkretne nazwy. Do dziś w samotnych ranczach Zachodu z drzeniem w sercu wspomina się ponurą i złowieszczą nazwę „Danitów” albo „Aniołów-Mścicieli”.

Bliższe zetknięcie się z tą organizacją, siejącą taki postrach, zwiększało jeszcze przerażenie, jakie budziła ona w umysłach ludzkich. Nikt nie wiedział, kto należy, a kto nie należy do tego bezlitosnego stowarzyszenia. Nazwiska uczestników krwawych zbrodni i gwałtów, których dokonywano pod płaszczykiem religijnym, trzymano w ścisłej tajemnicy. Szczery przyjaciel, któremu zwierzyłeś się z nieufności do proroka i jego misji na ziemi, mógł być jednym z tych, co przyjdą w nocy, by ogniem i mieczem dochodzić najokropniejszego zadośćuczynienia. Dlatego sąsiad bał się sąsiada i nikt nie mówił o tym, co mu ciążyło na sercu.

Pewnego pięknego ranka John Ferrier zbierał się właśnie w pole, gdy doleciał go szcęk odsuwanej zasuw. Wyrzwał oknem i zobaczył krzepkiego, jasnowłosego mężczyznę w śred-

nim wieku, idącego ścieżką ku domowi. Poznał w przybyszu samego wielkiego Brighama Younga i poczuł, jak na ten widok serce podchodzi mu pod gardło. Pełen najczarniejszych przeczuć – wiedział bowiem, że taka wizyta nie wróży nic dobrego – wybiegł na próg, by powitać wodza mormonów.

Young ozięble odpowiedział na jego powitanie i z poważną miną pozwolił się zaprowadzić do bawialni.

– Bracie Ferrier – powiedział siadając i badawczo patrząc na farmera spod swych jasnych rzęs. – Wyznawcy prawdziwej wiary byli ci dobrymi przyjaciółmi. Podnieśli cię na puszczy konającego z głodu. Nakarmili cię i napoili, bezpiecznie przywiedli do Wybranej Doliny. Hojnie nadzielili ziemią i pozwolili pod swoją opieką dojść do wielkich bogactw. Czy nie tak?

– Tak – odparł John Ferrier.

– W zamian za to zażądaliśmy tylko jednego: byś przyjął prawdziwą wiarę i pod każdym względem stosował się do naszych zwyczajów. Obiecałeś nam to i – jeśli ludzie mówią prawdę – nie dotrzymałeś.

– Jak to nie dotrzymałem? – zapytał z wyrzutem Ferrier. – Czy nie wniosłem mego działu do wspólnej kasy? Czy nie chodzę do kościoła? Czy nie...

– Gdzież są twe żony? – zapytał Young rozglądając się wkoło. – Przywołaj je, bym je mógł pozdrowić.

– Tak, nie ożeniłem się, to racja – odparł Ferrier. – Ale kobiet jest mało i są bracia, którzy mają większe do nich prawo niż ja. Zresztą nie jestem samotny. Mam córkę, która o mnie dba.

– Właśnie o niej chcę z tobą pomówić – rzekł wódz mormonów. – Wyrosła na prawdziwy kwiat Utahu i pozyskała sobie sympatię wielu dostojnych ludzi naszego kraju.

John Ferrier jęknął wewnątrz.

– Opowiadają o niej historię, której nie chciałbym wierzyć... że jest zaręczona z poganinem²³. Muszą to być złe plotki. Cóż głosi trzynaste przykazanie świętego Józefa Smitha? „Niech każda dziewczyna prawdziwej wiary poślubi jednego z wybranych; poślubiając bowiem poganina, zgrzeszy ciężko”. A skoro tak, nie może być, abyś ty, wyznawca naszej świętej wiary, pozwolił córce złamać to przykazanie.

John Ferrier milczał, nerwowo kręcąc w ręku pejcz.

– Szczerokość twojej wiary poddana będzie tej jednej próbie... tak orzekła Święta Rada Czterech. Dziewczyna jest młoda. Nie nalegamy, by wyszła za starego, i nie chcemy też pozbawiać jej prawa wyboru. My, starsi, mamy dużo ciołek²⁴, ale musimy pomyśleć i o naszych dzieciach. Stangerson ma syna i Drebbler ma syna. Każdy z nich z radością weźmie twą córkę pod swój dach. Niech więc wybierze któregoś z nich. Są młodzi, bogaci i naszej wiary. Co o tym myślisz?

Ferrier zmarszczywszy brwi milczał przez chwilę.

– Musicie dać nam trochę czasu – powiedział wreszcie. – Moja córka jest bardzo młoda... ledwie dojrzała do małżeństwa.

– Dajemy jej miesiąc do namysłu – odparł Young wstając. – Po miesiącu musi się zdecydować.

Już w drzwiach odwrócił się, czerwony, z gniewnie błyszczącymi oczami.

– Lepiej byłoby dla ciebie, Johnie Ferrier – zagrzmiał – gdyby twoje i jej kości bieleły na Sierra Blanco, niż gdybyś swą mizerną wolę chciał przeciwstawić rozkazom Świętej Czwórki!

²³ Mormoni, uważając się za świętych, nazywali ludzi innej wiary „poganami”.

²⁴ Heber C. Kimball w jednym ze swych kazań w tak czuły sposób wspominał o setce swoich żon (przyp. Autora).

Z groźnym gestem odwrócił się, a John Ferrier usłyszał jeszcze skrzyp jego ciężkich kroków na żwirze dróżki.

Wciąż siedział skamieniały, z łokciami wspartymi na kolanach, i rozmyślał, co i jak ma powiedzieć córce, gdy nagle poczuł na ramieniu jej delikatną rączkę. Uniósł oczy i zobaczył, że Lucy stoi przy nim. Od jednego spojrzenia na jej bladą, przerażoną twarzyczkę zrozumiał, że słyszała wszystko.

– Musiałam słyszeć – odpowiedziała na nieme pytanie ojca. – Jego głos słyhać było w całym domu. Och, ojczu, co teraz pocznjemy?

– Nie martw się – odrzekł przyciągając ją do siebie i czule głaszcząc szorstką dłonią jej jasne włosy. – Jakoś to będzie. Nie zechcesz chyba porzucić swego kochanego chłopca dla kóregoś z tych drabów, prawda?

Odpowiedziała mu cichym szlochem i lekkim uściśnieniem ręki.

– Nie, oczywiście nie. Nie chciałbym słyszeć z twych ust innej odpowiedzi. To poczciwy chłopak i dobry chrześcijanin. Więcej wart od tych mormonów, mimo ich modłów i kazań. Jutro kilku ludzi jedzie do Nevady. Zawiadomię go więc, w jakich jesteśmy opałach. Jeśli go dobrze znam, przyleci szybciej niż błyskawica.

Słowa te wywołały uśmiech na zapłakanej twarzyczce Lucy.

– Gdy tu już będzie, potrafi znaleźć radę – powiedziała. – Ale boję się o ciebie. Ludzie mówią... opowiadają takie straszne rzeczy o tych, którzy się sprzeciwili woli proroka. Zawsze spotyka ich jakieś nieszczęście.

– Myśmy się mu jeszcze nie sprzeciwili – odrzekł John. – Będziemy mieli czas się strzec, gdy do tego dojdzie. Mamy jeszcze cały miesiąc przed sobą. A w ostateczności zwiemy z Utah.

– Porzucić Utah!

– Tak wypadnie.

– Ale co z farmą?

– Spieniężymy, co się da, a resztę zostawimy. Prawdę mówiąc, już nieraz o tym myślałem. Zbrzydło mi to ciągle uginanie karku, jak oni to robią, przed tym ich przeklętym prorokiem. Jestem wolnym Amerykaninem i nie potrafię tego. I za stary jestem na naukę. Jeśli raz jeszcze wlezie nam w paradę, gotówem go poczęstować porządną porcją grubego śrutu.

– Oni nie pozwolą nam wyjechać – zauważyła Lucy.

– Zaczekamy na Jeffersona, a potem szybko to załatwimy. Tymczasem nie trap się, kochanie, i nie płacz. Bo gdy cię ujrzy taką zmartwioną, nigdy mi tego nie przebaczy. Nie ma się czego bać, bo i nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Pewny ton Johna Ferrier nie zdołał zwiść Lucy. Zauważyła, że jej przybrany ojciec tego wieczora niezwykle starannie zarygłował drzwi i uważnie oczyścił i nabił starą, zardzewiałą strzelbę, która wisiała na ścianie w jego sypialni.

XI. Wyścig o życie

Nazajutrz po rozmowie z prorokiem mormonów John Ferrier udał się rankiem do Salt Lake City. Odszukał tam swego znajomego, który jechał w góry Nevady i przez niego posłał wiadomość Jeffersonowi Hope. Szczegółowo powiadomił go o nieuchronnym niebezpieczeństwie wiszącym nad nimi i usilnie prosił o natychmiastowe przybycie. Załatwiwszy to odechnął z ulgą i już w lepszym nastroju wybrał się w powrotną drogę.

Podjeżdżając do domu zdziwił się na widok dwóch koni przywiązanych do słupów po bokach bramy. Ale jeszcze bardziej zdziwił go widok dwóch młodzieńców, którzy bez ceremonii rozgościli się w jego bawialni. Jeden z nich, o długiej, bladej twarzy, siedział wygodnie odchyłony w fotelu na biegunach, z nogami opartymi o kominek. Drugi, młodzieniec o istic byczym karku i nalanych rysach nieokrzesanej twarzy, stał przed frontowym oknem, trzymając ręce w kieszeniach i gwiżdżąc jakiś znany psalm. Obaj skinęli głowami Ferrierowi na powitanie, a ten, który siedział, zaczął rozmowę.

– Możliwe, że pan nas nie zna. To jest syn starszego brata Drebbiera, a ja nazywam się Józef Stangerson. Razem z panem wędrowaliśmy przez pustynię, kiedy to Bóg wyciągnął dłoń i przyjął pana do swej prawdziwej owczarni.

– Jak i przyjmie cały lud w naznaczonym czasie – odezwał się drugi nosowym głosem. – Boży młyn miele wolno, ale na drobny pył.

John Ferrier skłonił się chłodno. Odgadł, kim są jego goście.

– Przyjechaliśmy – ciągnął Stangerson – za radą naszych ojców, by prosić o rękę pańskiej córki dla tego, który spodoba się panu i jej. A że ja mam tylko cztery żony, gdy brat Drebbier ma ich siedem, sądzę, że powinienem mieć pierwszeństwo.

– Nie, nie, bracie Stangerson – zaproponował drugi z gości. – Nie chodzi o to, ile kto z nas ma żon, lecz na ile może sobie pozwolić. Mój ojciec oddał mi teraz wszystkie swoje młyny i jestem bogatszy od ciebie.

– Ale ja mam lepsze widoki – gorąco odparł Stangerson. – Kiedy Bóg powoła do siebie mego ojca, odziedziczę jego garbarnie i inne fabryki. Poza tym jestem starszy od ciebie i zajmuję wyższe stanowisko w hierarchii kościelnej.

– Niech dziewczyna zadecyduje – odrzekł młody Drebbier z samolubnym uśmiechem patrząc w lustro. – Jej pozostawmy wybór.

Podczas tego dialogu John Ferrier stał w drzwiach pieniać się ze złości. Z trudem się hamował, by nie smagnąć gości pejcem po plecach.

– Słuchajcie – powiedział wreszcie, podchodząc do nich, – Przyjdziecie, kiedy moja córka was zawoła, a przedtem nie życzę sobie oglądać waszych twarzy.

Młodzi mormoni patrzyli na niego ze zdziwieniem. W ich oczach ten wzajemny spór o dziewczynę był tylko najwyższym zaszczytem dla niej i dla jej ojca.

– Macie dwa wyjścia z tego pokoju – krzyknął Ferrier. – Przez drzwi i przez okno. Wybierajcie!

Jego smagła twarz przybrała taki gniewny wyraz, że obaj goście skoczyli na równe nogi i wycofali się co prędzej. Stary farmer szedł za nimi do drzwi.

– Gdy już będziecie w siodłach, powiecie mi, jak rozstrzygnęliście spór – rzekł sardonicznie.

– Zapłacisz nam za to! – krzyknął Stangerson blady z wściekłości. – Nie usłuchałeś proroka i Rady Czterech. Będiesz tego żałował do końca życia.

– Gniew Pana spadnie na ciebie – wołał młody Drebbier. – Odwróci On swe oblicze i ukarze cię!

– A więc ja zacznę od karania! – wykrzyknął rozwścieczony Ferrier i byłby skoczył na górę po strzelbę, gdyby Lucy nie schwyciła go za rękę. Nim zdołał się uwolnić, odległy tętent kopyt powiedział mu, że obaj młodzieńcy są już daleko.

– Obludni młodzi nicponie! – wołał Ferrier ocierając pot z czoła. – Wolę ujrzeć cię w grobie, moje dziecko, aniżeli żoną któregoś z nich.

– I ja też to wolę, ojczy – odparła z żarem w głosie. – Na szczęście Jefferson niedługo już tu będzie.

– Tak, wkrótce powinien tu być. Im prędzej, tym lepiej, bo nie wiadomo, co oni teraz wymyślą.

Istotnie czas już był najwyższy, by ktoś energiczny i mądry radą i czynem przybył z pomocą staremu, dzielnemu farmerowi i jego przybranej córce. Dotychczas w historii całego osiedla nie zanotowano jeszcze wypadku jawnego oporu wobec woli starszych. Gdy więc znacznie mniejsze wykroczenia karano tak bezwzględnie, jaki los musiał czekać tych, co odważyli się na otwartą rebelię? Ferrier wiedział, że nie uratuje go ani jego bogactwo, ani poważanie, jakim się cieszył. Inni, nie mniej znani i bogaci, zniknęli tajemniczo, a ich dobra przekazano kościołowi. Ferrier był odważnym człowiekiem, lecz drżał na myśl o zagadkowej, niepojętej groźbie, która nad nim zawisła. Śmiało stawiałby czoło każdemu uchwytnemu niebezpieczeństwu, lecz to nieznanne wyprowadzało go z równowagi. Ukrywał, jak mógł, swe obawy przed córką, lekcewał sobie nawet całą sprawę, ale ona bystrym, kochającym okiem widziała, jak nad tym cierpi.

Farmer przypuszczał, że Young nie pozostawi go w spokoju i że da o sobie znać. I nie mylił się, choć to przypomnienie nadeszło w zupełnie niespodziewanej formie. Zbudziwszy się nazajutrz, ku swemu zdziwieniu, znalazł kartkę papieru przypiętą do kołdry. Na tej kartce widniały słowa skreślone wyraźnymi, rozstrzelonymi literami: *D o p o p r a w y p o z o s t a j e c i d w a d z i e ś c i a d z i e w i ę ć d n i , a p o t e m . . .*

Nieubłagana stanowczość i szybkość działania były straszniejsze od samej groźby. Johna Ferrier zaniepokoiło, jak to ostrzeżenie dostało się do jego pokoju. Służba sypiała w oddzielnym budynku, a drzwi i okna domu były mocno zamknięte. Zmiał kartkę i nic nie powiedział córce, lecz wypadek wywarł na nim wielkie wrażenie. Te dwadzieścia dziewięć dni stanowiły najwidoczniej resztę z miesiąca zwłoki obiecanej mu przez Younga. Jakaż siła czy męstwo mogły się przeciwstawić takiej tajemniczej potędze? Ręka, która przypięła Ferrierowi tę kartkę, mogła równie dobrze przeszyć mu serce we śnie. Lecz jeszcze większego wstrząsu doznał następnego ranka. Właśnie zasiedli do śniadania, kiedy Lucy, krzyknąwszy ze zdziwienia, wskazała w górę. Na środku sufitu nakreślono, zapewne opalonym patykiem, wielką cyfrę 28. Lucy nie zrozumiała tego, a Ferrier wołał jej nie tłumaczyć. Całą najbliższą noc przesiedział na czatach ze strzelbą w pogotowiu. Nic nie widział i nic nie słyszał, a jednak rankiem na zewnętrznej stronie drzwi ujrzał wymalowane wielkie 27.

Dzień szedł za dniem i każdego ranka Ferrier niezmiennie stwierdzał, że wrogowie prowadzą ścisły rachunek i w jakiś zagadkowy sposób znaczą, co mu jeszcze pozostało z podarowanego miesiąca. Czasem tajemnicze liczby zjawiały się na ścianach, czasem na podłodze, czasem zaś na karteczkach przyczepionych do ogrodowych wrót lub płotu. Mimo nieustannej czujności nie mógł wysledzić, skąd się biorą te codzienne ostrzeżenia. Na ich widok ogarniał go niemal zabobonny lęk. Zdzczał, był u kresu sił, a oczy jego przybrały zalękniony wyraz szczonego zwierzęcia. Teraz pozostała mu już tylko jedna nadzieja: powrót młodego myśliwca z Nevady.

Jefferson zaś nie dawał znaku życia. Liczby malały, dzień po dniu, a on milczał. Na każdy tętent konia, na krzyk woźnicy stary farmer biegł do wrót z nadzieją, że pomoc nareszcie nadchodzi. W końcu, gdy ujrzał, że pięć zamieniło się w cztery, a cztery w trzy, całkiem upadł na duchu i stracił resztkę nadziei. Wiedział, że sam jeden przy słabej znajomości gór otaczających osiedle jest zupełnie bezradny. Bardziej uczęszczane drogi były bacznie strzeżone i nie

można było nimi przejść bez zezwolenia Rady. Czego by Ferrier nie przedsięwziął, dokądby się nie obrócił, nie mógł uniknąć grożącego mu ciosu. Lecz mimo wszystko twardo stał przy swoim: raczej zginie, a nie da zgody na to, co uważał za hańbę dla córki.

Pewnego wieczoru siedział pogrążony w swych troskach i gorączkowo szukał jakiegoś wyjścia z tragicznej sytuacji. Tego ranka na ścianie domu ujrzał liczbę 2. Jutrzejszy dzień zatem był ostatnim z udzielonej mu zwłoki. Co się później stanie? Jego wyobraźnia malowała mu najstraszniejsze, tajemnicze obrazy. A córka... jaki los ją czeka po jego śmierci? Czy nie ma żadnej nadziei, aby przerwać tę niewidzialną sieć, którą ich omotano? Głowa opadła mu na stół i zalkał myśląc o własnej bezsilności.

Ale co to? W martwej ciszy doleciało go leciutkie chrobotanie, ledwie uchwytnie, ale wyraźne w głuchym spokoju nocy. Dochodziło od drzwi. Ferrier wczuł się do sieni i nadstawił ucha. Kilka chwil było cicho, a potem leciutkie, zagadkowe skrobanie znów się powtórzyło. Ktoś bardzo delikatnie stuknął w jedną z desek drzwi. Czy to był nocny morderca, który przyszedł, by wykonać wyrok tajnego trybunału? A może to jakiś wysłannik mormonów kreślił ostrzeżenie, że nadszedł ostatni dzień udzielonej łaski. John Ferrier pomyślał, że śmierć jest lepsza od dręczącej go niepewności. Skoczył naprzód, odepchnął rygiel i jednym szarpnięciem otworzył drzwi.

Na dworze było cicho i spokojnie. Noc była piękna, gwiazdy jasno błyszcząły na niebie. Ferrier miał przed sobą, jak na dłoni, mały, frontowy ogródek zamknięty ogrodzeniem i bramą, ale ani tu, ani na drodze nie dostrzegł żywego ducha. Westchnąwszy z ulgą, spojrzął w lewo i w prawo, aż wreszcie przypadkowo rzucił okiem w dół i ze zdumieniem ujrzał u swych stóp jakiegoś człowieka, który z rozrzuconymi rękami i nogami leżał twarzą do ziemi. Stary farmer tak się przeraził, że oparł się plecami o ścianę i zacisnął ręką usta, by stłumić mimowolny okrzyk. W pierwszej chwili myślał, że ten człowiek jest ranny lub że umiera. Ale gdy przyjrzał mu się uważniej, spostrzegł, że czołga się on po ziemi i wślizguje do korytarza cicho i szybko jak wąż. W domu zerwał się na nogi, zatrzasnął drzwi i wtedy zdumiony farmer ujrzał przed sobą stanowcze i surowe oblicze Jeffersona Hope.

– W imię Ojca i Syna!... – westchnął wówczas. – Jakżeś mnie przeraził. Czemu aż w taki sposób wchodzisz do domu?

– Niech pan mi da co zjeść – ochryplym głosem odparł Hope. – Od czterdziestu ośmiu godzin nie straciłem chwili czasu na kęs stawy czy łyk wody. – Rzucił się na zimne mięso i chleb, które po kolacji zostały na stole, i zaczął je pożerać łapczywie.

– Czy Lucy trzyma się dobrze? – zapytał po zaspokojeniu pierwszego głodu.

– Tak. Nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

– To dobrze. Dom jest gęsto obstawiony. Dlatego musiałem się czołgać. Mogą być diabelnie czujni, ale nie zdołają pochwycić myśliwca Washoe²⁵.

John Ferrier odżył, gdy poczuł przy sobie oddanego sprzymierzeńca. Chwycił szorstką dłoń Jeffersona i uściśnął ją serdecznie.

– Można być z ciebie dumnym, chłopcze – powiedział. – Niewielu znalazłbym takich, którzy zgodziliby się podzielić nasze troski i niebezpieczeństwa.

– Trafiałeś w sedno, ojczy – odparł młody myśliwy. – Szanuję cię i czczę, ale gdybyś ty sam wpadł w taką kabałę, zastanowiłbym się mocno przed wejściem w to gniazdo os. Przybyłem tu dla Lucy i prędzej w Utah będzie mniej o jednego Hope'a, niż jej włos spadnie z głowy.

– Cóż pocniemy?

– Jutro mija ostatni dzień z danego panu terminu i jeśli natychmiast nie zacznie pan działać, będziecie zgubieni. W Kanionie Orła mam ukrytego muła i dwa konie. Ile ma pan pieniędzy?

– Dwa tysiące dolarów w złocie i pięć tysięcy w banknotach.

²⁵ Washoe – plemię Indian zamieszkujących w Nevadzie.

– Wystarczy. Ja mam też tyle. Musimy górami przedostać się do Carson²⁶. Niech pan zbudzi Lucy. Dobrze, że służba śpi poza domem.

Kiedy Ferrier budził Lucy i przygotowywał ją do drogi, Jefferson Hope spakował całe jedzenie, jakie znalazł, i napełnił kamienny dzban wodą. Wiedział z własnego doświadczenia, że w górach źródła są rzadkie i leżą daleko od siebie. Ledwie skończył, wszedł farmer z córką, oboje już ubrani i gotowi do drogi. Powitanie kochanków było czułe, choć krótkie, bo czas naglił, a dużo pozostawało do zrobienia.

– Musimy zaraz ruszać – powiedział Jefferson Hope głosem cichym, lecz stanowczym, jak człowiek, który się dobrze orientuje w niebezpieczeństwie, lecz jest gotów powitać je z otwartą przyłbicą. – Drzwi frontowe i kuchenne są strzeżone, ale zachowując ostrożność, możemy się wymknąć bocznym oknem i przejść polami. Z gościńca mamy już tylko dwie mile do Kanionu Orła, gdzie czekają konie. O świcie powinniśmy już być na pół drogi w górach.

– A jeżeli nas zatrzymają? – zapytał Ferrier.

Hope uderzył dłonią po rewolwerze wystającym spod kurtki.

– Jeśli będzie ich za dużo, jak na nasze siły, dwóch lub trzech pójdzie za nami – powiedział uśmiechając się złowrogo.

Zgasili, światło i Ferrier wyrztał z okna na swoje pola, które miał teraz na zawsze opuścić. Zdołał jednak już się zżyć z tą bolesną myślą, bo troska o honor i szczęście córki przeważały nad żalem za majątkością. Wszystko wkoło tchnęło takim błogim spokojem – drzewa szumiące liśćmi i szerokie, ciche łąny – że trudno było sobie wyobrazić, by gdzieś wśród nich czekali mordercy. Lecz blada twarz i stwardniałe rysy młodego myśliwego wskazywały, że po drodze widział wiele strasznych rzeczy.

Ferrier trzymał w ręku worek z pieniędzmi, Jefferson – skąpy zapas żywności i wody, a Lucy – węzełek z kilkoma najcenniejszymi drobiazgami. Wolno i ostrożnie otworzyli okno, zaczęli, aż ciemna chmura przesłoniła niebo, i kolejno wysunęli się do ogródka. Z zapartym oddechem, skurczeni, prześliznęli się pod sam płot i szli wzdłuż niego ku wyrwie wychodzącej na łąny zboża. Gdy już byli przy niej, młody myśliwy schwycił nagle swych towarzyszy za ręce i pociągnął w cień. Tu cicho leżeli dygocząc z niepokoju.

Na szczęście dla nich Jefferson Hope, dzięki długiemu doświadczeniu nabytemu w prerii, miał słuch rysia. Ledwie bowiem zdążyli przykucnąć, doleciało ich żalosne pohukiwanie sowy o parę jardów od nich. Natychmiast odpowiedziało mu podobne skądś z pobliza. W tej samej chwili jakaś niewyraźna postać wychynęła z wyrwy w płocie, do której zdążyli zbiegowie, i raz jeszcze powtórzyła płaczliwe wołanie sowy. Na ten głos z ciemności wyłonił się drugi człowiek.

– Jutro o północy – powiedział pierwszy z nich, najwidoczniej wódz. – Kiedy kozodój odezwie się trzy razy.

– Dobrze – odparł drugi. – Czy mam zawiadomić brata Drebbera?

– Zawiadom go i powiedz, by powtórzył ten rozkaz dalej. Dziewięć do siedmiu!

– Siedem do pięciu! – rzekł tamten i obaj zniknęli w przeciwnych kierunkach. Rozmowę swą zakończyli widocznie hasłem i odzewem. Ledwie ich kroki zamarły w oddali, Jefferson Hope zerwał się z ziemi, dopomógł swym towarzyszom przejść przez wyrwę i co sił w nogach zaczęli biec polami. Biegając, młody myśliwy podtrzymywał, a nawet niósł Lucy, gdy zabrakło jej sił.

– Szybko! Szybko! – szeptał od czasu do czasu. – Już przeszliśmy linię czat. Wszystko zależy od pośpiechu. Szybko! Szybko!

Wydostawszy się na gościniec rażno posuwali się naprzód. Raz tylko dostrzegli kogoś, ale nawet i wówczas udało im się skryć w polu i umknąć niepostrzeżenie. Tuż przed miastem myśliwy zбочzył na kamienistą, wąską ścieżkę wiodącą prosto w góry. Dwa czarne, skaliste szczyty majaczyły w mroku nad nimi, a wąwóz między tymi szczytami był właśnie Kanionem

²⁶ Carson City – stolica Nevady.

Orla, gdzie czekały konie. Z nieomylnym instynktem Jefferson Hope odnajdywał krętą drogę między potężnymi głazami i wzdłuż wyschniętych potoków. W końcu dotarł do zacisznego zakątka za złomami skał, gdzie stały przywiązane wierne zwierzęta. Lucy wsadzono na muła, a stary Ferrier, nie wypuszczając worka z pieniędzmi, dosiadł jednego z koni. Jefferson Hope ujął drugiego za cugle i powiodł zbiegów urwistą, niebezpieczną ścieżyną.

Była to prawdziwie karkołomna droga dla ludzi nie obytych z najbliższą przyrodą. Z jednej strony ścieżyny, co najmniej na tysiąc stóp w górę, piętrzyła się potężna skalna ściana, czarna, posępna i groźna, pokarbowana długimi żyłami bazaltu, podobnymi do żeber skamieniałego potwora. Po drugiej stronie – kamienie i głazy, zwalone w dzikim chaosie, uniemożliwiały przejście. Między tymi dwoma przeszkodami wila się ścieżynka miejscami tak wąska, że można się było posuwać po niej tylko gęsiego, i tak nierówna, że dostępna jedynie dla wytrawnych jeźdźców. Lecz mimo tych trudności i niebezpieczeństw zbiegowie jechali z lekkim sercem, bo każdy krok oddalał ich od okrutnego despotyzmu, przed którym musieli uchodzić.

Niebawem jednak przekonali się, że wciąż jeszcze są w zasięgu prawa mormonów. Dotarli właśnie do najbliższego i najodludniejszego zakątka przełęczy, gdy Lucy krzyknęła z przerażenia i wskazała ręką w górę. Na skale, która panowała nad drogą, kontrastowo występując na tle nieba, stał samotny sztyldwach. Dostrzegł ich w tej samej chwili, co oni jego. W cichym wąwozie donośnie rozbrzmiało wojskowe zawołanie:

– Kto idzie?

– Podróżni zdążający do Nevady – odparł Jefferson Hope kładąc rękę na strzelbie zawieszony u siodła.

Widzieli, jak samotny sztyldwach zniżył lufę swojej strzelby i bacznie patrzył w dół, jakby niezadowolony z odpowiedzi.

– Z czyjego zezwolenia? – zapytał.

– Świętej Czwórki – odparł Ferrier. Ze swego doświadczenia wiedział, że jest to najwyższy autorytet mormonów, na który można się powołać.

– Dziewięć do siedmiu – krzyknął sztyldwach.

– Siedem do pięciu – szybko odpowiedział Jefferson Hope, przypomniawszy sobie odzew słyszany w ogrodzie.

– Przejdźcie i niech Bóg was prowadzi – odparł głos z góry.

Za tym posterunkiem ścieżka się rozszerzała i konie mogły już pójść kłusa. Obejrawszy się za siebie zbiegowie dojrzeliby jeszcze sylwetkę samotnego sztyldwacha wspartego na strzelbie i zrozumieli, że udało im się minąć najbardziej wysuniętą czatę wybranego ludu. Przed sobą mieli już wolność.

XII. Aniołowie-Mściciele

Całą noc jechali labiryntem wąwozów, krętymi, kamienistymi ścieżkami. Kilkakrotnie zbłądzili, ale za każdym razem zażyłość Jeffersona Hope z górami pozwalała mu odnaleźć dobrą drogę. O świcie ujrzeli wspaniałe, choć dzikie piękno krajobrazu. Ze wszystkich stron, aż po daleki horyzont, otaczały ich wysokie góry w śnieżnych czapach, spoglądające na siebie przez ramie. Skaliste ściany wąwozu były tak urwiste, że zdawało się, iż porastające je mdrzewie i jodły wiszą nad głowami zbiegów i za lada podmuchem wiatru runą na nich. Nie były to płonne obawy, gdyż dno kamienistego wąwozu gęsto zaścieniały drzewa i głązy strącone wiatrem. Raz nawet tuż za zbiegami zleciał wielki głąz, głuchym łoskotem budząc gromkie echo w skalnej gardzieli i przynaglając zmęczone konie do rozpaczliwego galopu.

W miarę wznoszenia się słońca białe czapy na szczytach zapalały się kolejno jak lampiony na festiwalu, aż wreszcie zapłonęły purpurą. Ten wspaniały widok podniósł na duchu trójkę zbiegów i dodał im nowych sił. Zatrzymali się przy dzikim potoczku górskim, wypływającym ze skalnej rozpadliny. Napoili konie i sami szybko się pożywili. Lucy i jej ojciec chętnie wypoczywaliby dłużej, ale Jefferson Hope był nieubłagany.

– Na pewno już gonią za nami – mówił. – Wszystko teraz zależy od pośpiechu. Gdy wreszcie znajdziemy się w Carson, będziemy mogli wypoczywać do końca życia.

Cały dzień przedzierali się wąwozami i pod wieczór obliczyli, że co najmniej trzydzieści mil musi ich dzielić od wrogów. Na noc, dla osłony przed wiatrem, schronili się pod skalny występ i tuląc się do siebie przespali parę godzin. Ale już o brzasku znów byli w drodze. Nie czuli za sobą żadnej pogoni i Jefferson Hope już zaczął przypuszczać, że szczęśliwie wydostali się z rąk tej strasznej organizacji, której gniew wzbudzili. Nie podejrzewał jednak, jak daleko sięga jej żelazna dłoń i jak szybki i miażdżący jest jej chwyt. Mniej więcej w połowie drogi, drugiego dnia ucieczki, skończył się skąpy zapas żywności. Hope mało się tym przejął, bo w górach łatwo było o zwierzynę, a jego strzelba nieraz go już ratowała od głodowej śmierci. Wyszukał więc jakiś spokojny zakątek, nazbierał suchych gałęzi i rozpałił ogień, przy którym jego towarzysze mogli się rozgrzać – byli już niemal pięć tysięcy stóp nad powierzchnią morza i ostre, chłodne powietrze dawało im się we znaki. Potem przywiązał konie, powiedział Lucy do widzenia, przerzucił strzelbę przez ramie i ruszył na poszukiwanie szczęścia. Obejrawszy się zobaczył jeszcze starego mężczyznę i młodą dziewczynę skulonych przy jasnym ogniu i trzy nieruchome zwierzęta za nimi. Za chwilę skały przysłoniły mu i ten widok.

Hope szedł wąwozami parę mil i nic nie upolował, choć ze śladów na korze drzew i po innych znakach widział, że musi tu być sporo niedźwiedzi. W końcu po dwóch czy trzech godzinach bezowocnych poszukiwań zaczął w rozpacz przemyśliwać nad powrotem, gdy przypadkiem spojrzawszy w górę ujrzął coś, co natchnęło go radością. Na skalistym występie górskiego szczytu, trzysta czy czterysta stóp nad nim, stało zwierzę podobne do owcy, zbrojne jednak w parę olbrzymich rogów. Wielki rogacz – bo tak go nazywano – stał pewnie na straży stada, które pasło się ukryte przed oczami myśliwego. Na szczęście zwierzę patrzyło w inną stronę. Jefferson Hope położył się na brzuchu, oparł strzelbę o kamień i długo mierzył, nim pociągnął za cyngiel. Zwierzę skoczyło w górę, chwilę chwiała się nad brzegiem przepaści i wreszcie z łoskotem runęło w dół.

Zdobycz była za ciężka, by dźwigać ją w całości. Myśliwy zadowolił się więc wycięciem szynki i części mięsa z boku. Potem zarzucił trofeum na ramie i szybko ruszył w powrotną drogę, gdyż poczynało się zmierzchać. Lecz już po paru krokach przekonał się, jakie trudno-

ści go czekają. W łowieckim zapale wyszedł daleko poza znane sobie wąwozy i teraz z trudem odnajdywał drogę. Wąwóz, w którym się znalazł, miał liczne rozgałęzienia tak uderzająco do siebie podobne, że nie można ich było rozróżnić. Z milę lub więcej szedł jednym z nich, aż doszedł do górskiego potoku, którego przedtem wcale nie widział. Przekonany, że zabłądził, zawrócił w inną stronę z podobnym wynikiem. Noc zbliżała się szybko i prawie było już ciemno, gdy wreszcie znalazł się w znanym sobie wąwozie. Ale nawet wtedy trudno mu było utrzymać się na właściwej drodze. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, a wysokie skały po obu stronach rzucały gęsty cień. Uginając się pod ciężarem zdobyczy, zmęczony trudami, Hope włókł się naprzód, a pocieszała go tylko myśl, że każdy krok zbliża go do Lucy i że pożywienie, które dźwiga, wystarczy im do końca drogi.

Doszedł teraz do wylotu tego wąwozu, w którym zostawił swych przyjaciół. Nawet w ciemności rozpoznał zarys urwistych skał wokół niego. Myślał, że Lucy i Ferrier muszą się niepokoić jego pięciogodzinną nieobecnością. Rozradowany, przyłożył więc dłonie do ust i obwieścił swe nadejście tak głośnym okrzykiem, że wąski kanion rozgrzmiał gromkim echem. Przystanął i czekał na odpowiedź. Nie usłyszał nic prócz zamierającego echa, wywołanego własnym okrzykiem i stokrotnie powtórnego przez mroczne góry. Krzyknął więc znowu jeszcze głośniej niż poprzednio i znowu nie usłyszał najśłabszej nawet odpowiedzi przyjaciół, od których tak niedawno odszedł. Serce ścisnęło mu się więc niejasnym przecuciem jakiegoś tajemniczego nieszczęścia. Podniecony, rzucił beczenną żywność i co tchu popędził naprzód. Dopadł do występu skalnego i ujrzał przed sobą miejsce, gdzie rozpałił ognisko. Węgla jeszcze się żarzyły w popiele, ale ognia widocznie nie podsycono od chwili, gdy odszedł. Wkoło panowała martwa cisza. Ze strasznym przecuciem, które zamieniło się w pewność, pobiegł naprzód. W pobliżu tlejącego ogniska nie było żywej duszy; zwierzęta, farmer i dziewczyna zniknęli. Trudno było się ludzić; w czasie jego nieobecności musiało spaść na nich nagle i okropne nieszczęście. Nieszczęście, które objęło ich wszystkich i nie pozostawiło żadnego śladu po sobie.

Skamieniały i oszołomiony nagłym ciosem, Jefferson Hope poczuł, że traci przytomność, i byłby upadł, gdyby się nie wsparł na strzelbie. Ale że przede wszystkim był człowiekiem czynu, szybko przyszedł do siebie po chwilowej słabości. Porwał na pół zwęgloną głównię z tlejącego ogniska i rozdmuchał ją w jasną pochodnię. Przy jej blasku zaczął badać małe obozowisko. Cały grunt był stratowany kopytami: widocznie liczna grupa jeźdźców dopędziła zbiegów, a ślady wskazywały, że pogoń zawróciła do Salt Lake City. Czy oboje zbiegów zabrano ze sobą? Jefferson Hope niemal zdołał wmówić w siebie, że tak było, gdy nagle wzrok jego padł na coś, co poruszyło w nim każdy nerw. Nieco z dala od obozowiska ujrzał mały kopczyk rudawej ziemi, którego przedtem tu nie widział. Nie można się było pomylić: był to całkiem świeży grób. Zbliżywszy się do niego, młody myśliwy dojrzał wetknięty w ziemię patyk z przyczepioną do niego kartką papieru. Napis na niej był krótki, lecz wymowny:

John Ferrier
ongi z Salt Lake City
zmarł 4 sierpnia 1860 r.

Dzielny starzec, z którym rozstał się tak niedawno, odszedł zatem na zawsze, a ten napis był całym jego pośmiertnym wspomnieniem. Jefferson Hope błędnym wzrokiem rozejrzał się, czy nie ma gdzie drugiego grobu, ale nic nie dostrzegł. Okrutni prześladowcy porwali Lucy, by w haremie syna jednego ze Starszych dopełniło się jej przeznaczenie. Gdy Jefferson Hope jasno zdał sobie sprawę, jaki los ją czeka, i że on nie zdoła już jej uratować, pożałował, że nie leży w grobie obok starego farmera.

Lecz raz jeszcze jego żywotność wzięła górę nad rozpaczą. Otrząsnął się z apatii. Jeśli nie pozostało mu już żadnej nadziei, mógł przynajmniej życie poświęcić zemście.

Bezgranicznie cierpliwy i uparty, Jefferson Hope potrafił być również wytrwałym mścicielem, czego się zapewne nauczył przebywając długo wśród Indian. Teraz gdy stał przed dogasającym ogniskiem, czuł, że tylko jedna rzecz może złagodzić jego ból: własnoręczna, bezwzględna i całkowita pomsta na wrogach. Swą silną wolę i niezmordowaną energię – tak postanowił – skieruje w tym jednym kierunku. Blady, z zaciętym wyrazem twarzy wrócił po porzucone mięso i roznieciwszy ognisko upiekł sobie na zapas tyle, by mu starczyło na parę najbliższych dni. Potem zawinął żywność w węzełek i mimo wyczerpania ruszył z powrotem przez góry, śladami Aniołów-Mścicieli.

Pięć dni, upadając ze zmęczenia, włókł się wąwozami, które niedawno przebył konno. W nocy rzucał się bez sił na skały i urywał sobie parę godzin na sen, ale już o brzasku był w drodze. Szósteo dnia doszedł do Kanionu Orła. Stąd mógł już dojrzeć siedzibę mormonów. Wyczerpany do cna, wsparł się na strzelbie i pogroził pięścią cichemu, rozległemu miastu. Przyglądając mu się spostrzegł, że główne ulice były przybrane chorągwiami. Zauważył też inne oznaki jakiejś niedawnej uroczystości. Ciągle jeszcze rozmyślał, co by to być mogło, gdy usłyszał tupot końskich kopyt i ujrzał zbliżającego się jeźdźca. Po chwili poznał w nim mormona Cowpera, któremu parę razy wyświadczył jakieś przysługi. Zatrzymał go więc, by się czegoś dowiedzieć o losie Lucy Ferrier.

– Jestem Jefferson Hope – zaczął. – Czy pan mnie pamięta?

Mormon spojrział na niego z nie ukrywanym zdziwieniem. Rzeczywiście trudno było w tym obszarzanym, zaniedbanym włościu dostrzec o widmowo bladej twarzy i dziko pałających oczach poznać ongi dbałego o siebie myśliwego. Przekonawszy się jednak, że mówi prawdę, mormon przestał się dziwić i jawnie się zaniepokoił.

– Czemuś tu przyszedł, wariacie! – wykrzyknął. – Zapłacę głową, jeśli mnie przyłapią na rozmowie z tobą. Święta Czwórka wydała nakaz aresztowania ciebie za udział w ucieczce Ferrierów.

– Nie boję się ani Świętej Czwórki, ani ich nakazu – poważnie odparł Hope. – Pan musi coś wiedzieć o tej sprawie. Człowieku, zaklinam cię na wszystko, co masz świętego, odpowiedz na moje pytania! Zawsze byliśmy przyjaciółmi. Na miłość boską, nie odmawiaj mi!

– O co chodzi? – niechętnie zapytał mormon. – Mów szybko. Tu nawet skały mają uszy, a drzewa – oczy.

– Co się stało z Lucy Ferrier?

– Wczoraj poślubiono ją młodemu Drebbrowi. Opamiętaj się, człowieku, opamiętaj! Ledwie stoisz na nogach.

– Mniejsza o mnie – mdlejącym głosem rzekł Hope. Zbladł jak śmierć i osunął się na skałę, o którą stał oparty. – Mówisz, poślubiono ją?

– Poślubiono wczoraj... i dlatego wiszą chorągwie na budynkach. Młody Drebbler i młody Stangerson posprzeczczały się o nią. Obaj brali udział w pościgu i Stangerson zastrzelił jej ojca, co jakoby miało mu dawać większe prawa. Ale na Radzie stronnicy Drebblera przeważyli i prorok jemu ją oddał. Żaden jednak nie będzie się nią długo cieszyć; wczoraj wyraźnie widziałem śmierć wypisaną na jej obliczu. Bardziej podobna jest do ducha niż do kobiety. Odchodzisz?

– Tak – odparł Jefferson Hope stojąc już na nogach. Twarz jego stanowczym i twardym wyrazem przypominała rzeźbę w marmurze, oczy błyszczały mu złowrogo.

– Dokąd idziesz?

– Mniejsza o to – odparł i przewiesiwszy broń przez ramię ruszył w głąb wąwozu, w samo serce gór, w legowiska dzikich zwierząt. A żadne z nich nie było tak zawzięte i groźne jak on.

Przepowiednia mormona była aż nazbyt trafna. Czy to straszna śmierć ojca, czy też ohyda wymuszonego małżeństwa sprawiły, że Lucy nigdy już nie dźwignęła się z tego ciosu. Gasła stopniowo i zmarła w ciągu miesiąca. Jej otępiały z ciągłego pijaństwa małżonek, który poślubił ją przede wszystkim dla bogactwa Ferriera, nie odczuł bólu po jej stracie, lecz jego po-

zostałe małżonki opłakiwały Lucy i według zwyczaju mormonów całą noc przed pogrzebem spędziły przy jej zwłokach. Wczesnym rankiem, gdy czuwały przy marach, zobaczyły z przerażeniem i zdziwieniem zarazem, że drzwi otworzyły się nagle i dziki, zahartowany w trudach, obdarty mężczyzna wtargnął do pokoju. Bez słowa, nie patrząc na żadną z kulących się w trwodze kobiet, podszedł do białych cichych zwłok, w których ongi żyła czysta dusza Lucy Ferrier. Pochylił się nad nimi, z czcią przycisnął wargi do zimnego czoła i schwywszy rękę zmarłej zdjął z niej obrączkę. – Nie pochowacie jej z tym – warknął groźnie i nim któraś z kobiet zdołała zawołać o pomoc, zbiegł ze schodów i znikł. Wszystko to było tak tajemnicze i trwało tak krótko, że kobiety same sobie nie wierzyły i nie zdołałyby nikogo przekonać, gdyby nie fakt, iż małe złote kółeczko, małżeński symbol zmarłej, zniknęło z jej palca.

Kilka miesięcy Jefferson Hope snuł się po górach pędząc dziwne, dzikie życie, opanowany gorącym pragnieniem zemsty. W mieście opowiadano sobie o tajemniczej postaci skradającej się na przedmieściach i nawiedzającej pustynne górskie wąwozy. Raz kula wpadła przez okno domu Stangersona i rozpląszczyła się, uderzywszy w ścianę, o stopę od jego głowy. Innego razu wielki głaz spadł tuż koło Drebbiera, gdy ten przechodził pod skałą. Uszedł pewnej śmierci, na czas padając plackiem na ziemię. Młodzi mormoni szybko odkryli przyczynę tych zamachów i kilkakrotnie powiedli w góry wyprawy chcąc złapać lub zabić prześladowcę, ale zawsze daremnie. Wówczas zaczęli się mieć na baczności i nigdy nie wychodzili samotnie o zmroku zaś nie opuszczali w ogóle domów, które były pilnie strzeżone. Po pewnym czasie mogli sobie pozwolić na większą swobodę, gdyż wszelki słuch o ich prześladowcy zaginął. Sądził więc, że czas złagodził jego mściwość.

Lecz wcale tak nie było, bo czas – jeśli tylko czas – jeszcze ją powiększył. Jefferson Hope miał nieugiętą i nieubłaganą duszę, a chęć zemsty tak ją opanowała, że zabrakło w niej miejsca na jakiegokolwiek inne uczucie. Był jednak ponadto człowiekiem praktycznym, więc niebawem zrozumiał, że nawet jego żelazne zdrowie nie sprosta straszliwemu napięciu, w jakim żył. Trudy i brak odpowiedniego pożywienia coraz bardziej dawały mu się we znaki. Jeśli jak pies zginie w górach, co się stanie z jego zemstą? A taka śmierć czekałaby go nieuchronnie, gdyby nadal bez chwili odpoczynku prześladował wrogów. Zrozumiał, że to wyszłoby im tylko na dobre, i wrócił do kopalń Nevady, by podreperować zdrowie i zdobyć pieniądze, a potem, już bez ciężkich braków, tym usilniej szukać pomsty.

Początkowo chciał oddalić się najwyżej na rok, ale zbieg nieprzewidzianych wypadków zmusił go do pozostania w kopalniach przez lat pięć bez mała. Jednakże pod koniec tego okresu poczucie doznanej krzywdy i chęć zemsty były w nim tak samo żywe jak owej pamiętnej nocy, kiedy stał nad grobem Johna Ferrier. Przebrany i pod fałszywym, nazwiskiem powrócił do Salt Lake City. Nie dbał o własne życie i chciał tylko dokonać tego, co uważał za wyrok sprawiedliwości. Czekala go tu fatalna wiadomość. Parę miesięcy temu w „wybranym ludzie” nastąpił rozłam. Pewna grupa młodych malkontentów zbuntowała się przeciwko Starszym, oderwała się od kościoła i porzuciła Utah. Drebbier i Stangerson należeli do nich. Nikt nie wiedział, gdzie teraz są. Mówiono, że Drebbierowi udało się spieniężyć większość majątku i że wyjechał jako człowiek bogaty, gdy Stangerson został stosunkowo biedny. Nie można było jednak dociec, co się z nimi stało.

W obliczu tych trudności niejedyn pamiętliwy człowiek porzuciłby nadzieję zemsty, ale Jefferson Hope nawet o tym nie pomyślał. Z minimalnymi zasobami pieniężnymi, mając się każdej pracy, wędrował z miasta do miasta po całych Stanach Zjednoczonych i szukał swych wrogów. Lata mijały, siwizna przyprószyła mu włosy, a on, jak wyżeł w ludzkiej skórze, tropił dalej, opanowany tylko jedną myślą, której poświęcił całe swoje życie. Wreszcie ta wytrwałość została nagrodzona. Szybkie jak błyskawica spojrzenie na twarz w oknie powiedziało mu, że ludzie, których szuka, są w Cleveland w stanie Ohio. Wrócił do swego mizernego mieszkanka z gotowym planem zemsty. Ale zdarzyło się, że Drebbier, wyglądając oknem, poznał tego ulicznego włóczęgę i wyczytał wyrok śmierci w jego oczach. Wraz ze

Stangersonem, który teraz był jego osobistym sekretarzem, pobiegł do prokuratora i oświadczył, że jego życiu zagraża zazdrosny, zięjący doń nienawiścią dawny rywal. Tegoż wieczora uwięziono Jeffersona Hope. Niestety nie mógł on złożyć kaucji i dlatego kilka tygodni musiał przesiedzieć w więzieniu. Kiedy go wreszcie wypuszczono, przekonał się, że dom Drebbbera stoi pustką, a on sam wraz z sekretarzem wyjechał do Europy.

Tak więc znów los pokonał mściciela. Jednakże gnany jeszcze silniejszą nienawiścią, rzucił się on w dalszą pogoń. Z braku pieniędzy jął się na jakiś czas pracy i oszczędzał każdego dolara. Zebrawszy wreszcie ledwie tyle, by wystarczyło na życie, wyjechał do Europy i tam, mając się każdej pracy, ścigał wrogów od miasta do miasta. Wciąż jednak bezskutecznie. Kiedy dotarł do St Petersburga²⁷, oni wyjechali do Paryża, gdy się znalazł w Paryżu – właśnie wyruszyli do Kopenhagi. W stolicy Danii znów stanął o parę dni za późno; obaj dawni mormoni wyjechali do Londynu, gdzie wreszcie udało mu się ich dopaść. O tym zaś, co się tam wydarzyło, najlepiej dowiemy się z opowiadania samego Jeffersona Hope, tak jak je ściśle zanotował doktor Watson, którego uprzejmości je zawdzięczamy.

²⁷ St Petersburg – dziś Leningrad.

XIII. Dalszy ciąg wspomnień dr Johna Watsona

Nasz jeniec, opierając się z szaleńczą zaciętością, nie żywił jednak nienawiści do żadnego z nas, gdyż obezwładniony, uśmiechnął się resztkami sił i wyraził nadzieję, że nie zranił nikogo.

– Pewnie zabierzecie mnie na policję – powiedział do Sherlocka Holmesa. – Moja dorożka stoi przed drzwiami. Rozwiążcie mi nogi, to pójdę sam. Nie jestem już taki lekki, jak byłem dawniej.

Lestrade i Gregson zamienili spojrzenia, jakby uważali tę propozycję za zbyt śmiałą, lecz Holmes bez wahania uwierzył jeńcowi i rozwiązał ręcznik, którym skrupowaliśmy mu nogi w kostkach. Jeniec wstał i rozprostował nogi, jakby się chciał przekonać, że naprawdę są wolne. Pamiętam, jak patrząc na niego myślałem, że rzadko kiedy widziałem człowieka tak wspaniałej budowy. Z jego śniadej, ogorzałej twarzy bila energia i stanowczość me mniej zadziwiająca od jego fizycznej siły.

– Jeśli w tym mieście wakuje stanowisko komendanta policji, pan powinien nim zostać – powiedział, z nie ukrywanym podziwem spoglądając na mego współlokatora. – Wspaniale deptał mi pan po piętach.

– Chodźcie, panowie, ze mną – zwrócił się Holmes do obu detektywów.

– Ja mogę powozić – powiedział Lestrade.

– Świetnie! Gregson wsiądzie ze mną do środka. I pana zabierzemy, doktorze. Miał pan swój udział w sprawie i powinien się pan nas trzymać.

Zgodziłem się chętnie i zeszedliśmy wszyscy na dół. Nasz więzień nie próbował uciec i bez oporu wsiadł do własnej dorożki, a my wsiedliśmy za nim. Lestrade wdrapał się na kozioł, zaciął konia i szybko dowiózł nas do celu. Weszliśmy do niewielkiego pokoiku, gdzie inspektor policji zanotował nazwisko naszego więźnia i nazwiska ludzi, o zamordowanie których go oskarżono. Ten blady, beznamiętny urzędnik, obojętnie, czysto mechanicznie spełniał swe obowiązki.

– Więzień w ciągu tygodnia stanie przed sądem – powiedział. – A tymczasem, panie Jefferson Hope, czy ma pan coś do powiedzenia? Muszę jednak uprzedzić pana, że zaprotokoluję każde pańskie słowo, które też może być użyte przeciwko panu.

– Dużo mam do powiedzenia – wolno odrzekł więzień. – Chcę panom wszystko wyjaśnić.

– Może pan woli poczekać z tym do sprawy? – spytał inspektor.

– Mogę w ogóle nie stanąć przed sądem – odparł Hope. – Nie róbcie, panowie, takich zdziwionych min. Wcale nie myślę o samobójstwie. Czy pan jest lekarzem? – spojrzał na mnie czarnymi, pałającymi oczami.

– Tak – odparłem.

– Niech pan przyłoży dłoń – uśmiechnął się i ręką w kajdanach wskazał na swą pierś.

Zrobiłem, o co prosił. Od razu uderzyło mnie niezwykle łomotanie i pulsowanie idące skądś z głębi. Cała klatka piersiowa drgała i dygotała jak dom wstrząsany pracującą wewnątrz potężną maszyną. W ciszy pokoju wyraźnie słyszałem głucho dudnienie i szmery dobywające się z jego piersi.

– Jak to! – krzyknąłem. – Pan ma aneurysm serca?

– Tak to nazywają – odparł beztrząsanie. – Tydzień temu byłem u lekarza, który powiedział, że moje serce musi pęknąć niebawem. Od lat coraz z nim gorzej. Nabawiłem się tego z przemęczenia i niedojadania w górach Salt Lake. Dopiąłem już swego i nie dbam teraz o to, kiedy

skończę życie. Ale chciałbym, żeby ludzie wiedzieli, jak wszystko było naprawdę. Po co mają o mnie mówić jak o zwykłym zbrodniarzu.

Inspektor i dwaj detektywi wdali się w żywą dyskusję, czy celowe jest, aby aresztowany opowiedział nam historię swojego życia.

– Panie doktorze, czy zachodzi niebezpieczeństwo nagłej śmierci? – zapytał mnie inspektor.

– Niewątpliwie – odparłem.

– W takim razie, w interesie sprawiedliwości, musimy odebrać zeznanie – zawyrokował inspektor. – Może pan zeznawać, ale raz jeszcze uprzedzam, że będę protokołował wszystko, co pan powie.

– Spocznię, jeśli panowie pozwolą – odrzekł więzień siadając na krześle. – Przez ten aneuryzm serca łatwo się męczę, a stoczona przed godziną bójka nie polepszyła mego stanu. Stoję nad grobem i nie chcę kłamać. W tym, co teraz powiem, nie będzie słowa kłamstwa, a co wy z tym, panowie, zrobicie, to już wasza rzecz.

To mówiąc oparł się plecami o poręcz krzesła i zaczął opowiadać. Mówił spokojnie i metodycznie, jakby dzieje jego życia nie miały w sobie nic niezwykłego. Ręczę za ścisłość przytoczonego opowiadania, bo miałem dostęp do notesu Lestrade'a, gdzie zapisywał on dokładnie każde słowo więźnia.

– Moja zaciekle nienawiść do tych ludzi oczywiście nie ma dla panów żadnego znaczenia – zaczął Hope. – Ale wystarczy, że winni są śmierci dwojga ludzi – ojca i córki – i to przypięczętowało ich los. Zbyt wiele lat upłynęło od tej zbrodni i nie mogłem już zdobyć dowodów, by ich oskarżyć przed sądem. Wiedziałem jednak, że są winni, i postanowiłem, iż ja będę ich sędzią i katem. Panowie postąpilibyście tak samo, gdybyście byli na moim miejscu i jeżeli macie odrobinę męskości w sobie.

Dziewczynę, o której mówiłem, miałem poślubić dwadzieścia lat temu. Zmuszono ją do wyjścia za Drebbera i to wpędziło ją do grobu. Zdjąłem obrączkę z jej palca i poprzysiągłem sobie, że jego ostatnie spojrzenie w życiu musi paść na nią, a ostatnia myśl – dotyczyć zbrodni, za którą ponosi karę. Nosilem obrączkę przy sobie i ścigałem Drebbera i jego współnika przez dwa kontynenty, aż wreszcie ich dopadłem. Myśleli, że uda im się wywieść mnie w pole, ale się pomylili. Jeśli nawet jutro umrę, co jest zupełnie możliwe, to umrę z świadomością, że osiągnąłem swój cel, a zadanie wykonałem dobrze. Obaj zginęli, i to z mojej ręki. Ja już się niczego nie spodziewam i niczego nie pragnę.

Oni byli bogaci, ja – biedny. Niełatwo więc mi było gonić za nimi. W Londynie miałem już pustkę w kieszeni i musiałem się jać pracy. Jeżdżę i powożę tak dobrze, jak chodzę, zgłosiłem się więc do przedsiębiorstwa dorożkarskiego i dość łatwo dostałem zajęcie. Co tydzień musiałem wpłacać przedsiębiorcy określoną sumę; co ponadto – zostawało dla mnie. Rzadko wprawdzie zostawało coś więcej, ale jakoś sobie radziłem. Najtrudniej było mi poznać miasto, bo ze wszystkich labiryntów, jakie ludzie kiedykolwiek wymyślili, Londyn jest chyba najbardziej zawyły. Miałem jednak przy sobie plan i kiedy raz już poznałem pryncypalne hotele i główne stacje, niezłe dawałem sobie radę.

Upłynęło trochę czasu, nim wykryłem, gdzie mieszkają tropieni przeze mnie ludzie. Szukałem, pytałem, aż wreszcie ich znalazłem. Ulokowali się w pensjonacie w Camberwell, po drugiej stronie rzeki. A kiedy już ich wyśledziłem, wiedziałem, że trzymam ich mocno w garści. Zapaściłem brodę i żaden z nich nie poznałby mnie. Tropiłem ich czekając na dogodną chwilę. Postanowiłem sobie w duszy, że już żadnego nie wypuszczę.

Ale mimo wszystko o mały włos mi nie umknęli. Deptałem im po piętach, gdzieby się nie ruszyli, po całym Londynie. Czasem śledziłem ich z kozła mojej dorożki, czasem – piechotą. Lecz z dorożki było wygodniej, bo nie mogli mi ujsć. Zarabiałem tylko wczesnym rankiem lub późnym wieczorem. Niebawem więc zadłużyłem się u mego pracodawcy. Mało mnie to jednak wzruszało, dopóki miałem nadzieję, że osiągnę znenawidzonych ludzi.

Pilnowali się jednak bardzo. Musieli się czegoś domyślać, bo zawsze wychodzili razem i nigdy o zmroku. Przez dwa tygodnie jeździłem za nimi i ani razu nie widziałem, żeby się rozdzielili. Drebber przeważnie był pijany, ale Stangersona nie można było zaskoczyć. Czyhałem na nich w nocy i rankiem, lecz nigdy los się do mnie nie uśmiechnął, nawet na chwilę. Nie traciłem jednak ducha, bo coś mi mówiło, że godzina zemsty jest już blisko. Bałem się tylko, by ten instrument w mojej piersi nie pękł za wcześnie, bo to by mi nie pozwoliło dokonać dzieła.

Wreszcie pewnego wieczoru, gdy jeździłem tam i z powrotem po Torquay Terrace – tak się nazywa ta ulica, gdzie mieszkali – zauważyłem dorożkę podjeżdżającą pod drzwi. Po chwili wyniesiono walizki, a w jakiś czas potem wyszedł Drebber ze Stangersonem i obaj odjechali. Zaciałem mego konia i nie spuszczałem ich z oka. Byłem bardzo niespokojny, bo się bałem, że się gdzieś wyprowadzają. Wysiedli na stacji Euston, ja zaś kazałem jakiemuś chłopakowi przypilnować konia i poszedłem za nimi na peron. Słyszałem, że pytali o pociąg do Liverpoolu, a bileter powiedział im, iż jeden już odszedł, a następny odejdzie za parę godzin. Stangersona zdenerwowała ta wiadomość, gdy Drebber był wyraźnie zadowolony. W tłumie udało mi się podejść do nich tak blisko, że słyszałem każde słowo. Drebber powiedział, że ma jakąś osobistą sprawę do załatwienia i żeby Stangerson na niego czekał, bo wkrótce wróci. Stangerson sprzeciwiał się i przypominał, że postanowili się nie rozłączać. Drebber oświadczył na to, że jego interes jest natury delikatnej i że musi go załatwić bez świadka. Nie dosłyszałem, co tamten odpowiedział, ale Drebber począł kłąć i krzyczeć, żeby Stangerson nie zapominał, że jest tylko płatnym sługą, i nie wyobrażał sobie, że mu wolno rozkazywać. Widząc, że nic nie wskóra, Stangerson dał spokój. Wytargował tyle, że gdyby się Drebber spóźnił, spotkają się w hotelu Halliday. Drebber oznajmił, że będzie na peronie przed jedenastą, i poszedł.

Nadeszła wreszcie chwila, na którą czekałem tak długo. Miałem wrogów w swej mocy. Gdy byli razem, łatwiej się mogli bronić, rozdzieleni – zdani byli na moją łaskę. Nie mogłem jednak działać pośpiesznie. Plan miałem już ułożony. Zemsta dopiero wtedy jest słodka, kiedy wróg wie, kto mu zadaje cios i za co ponosi karę. Tak sobie ułożyłem plan działania, żeby mój krzywdziciel jasno pojął, że płaci za dawne grzechy. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności parę dni temu jakiś jegomość, który oglądał kilka domów na Brixton Road, zgubił klucz od jednego z nich w mojej dorożce. Wprawdzie tegoż wieczoru zgłosił się po odbiór, ale zdążyłem już zrobić sobie odcisk klucza i sporządzić duplikat. Umożliwiło mi to dostęp do jednego przynajmniej miejsca w tym wielkim mieście, gdzie nikt mi nie mógł przeszkodzić. Trudność, którą musiałem teraz pokonać, polegała na tym, jak tam ściągnąć Drebbera.

Poszedł ulicą i wstąpił do paru knajp. W ostatniej zabawił z pół godziny. Wyszedł z niej chwiejąc się na nogach. Musiał mieć mocno w czubie. Przede mną stała dorożka, do której wsiadł. Pojechałem za nim trzymając się cały czas tak blisko nich, że mój koń chrapami dotykał niemal pleców dorożkarza²⁸. Z łoskotem kół przebyliśmy most Waterloo i długo jechaliśmy ulicami Londynu, aż w końcu, ku memu zdziwieniu, zajechaliśmy na Torquay Terrace, przed pensjonat, gdzie mieszkał Drebber. Nie mogłem pojąć, po co on tam wrócił, ale minąłem go i zatrzymałem się o jakieś sto jardów od domu. Drebber wszedł do środka z wolniejszym dorożkę. Dajcie mi, panowie, wody. Zaszło mi w gardle z tego mówienia.

Wypił do dna szklanekę wody, którą mu podałem.

– Dziękuję, teraz lepiej – powiedział. – A więc czekałem z kwadrans, a może więcej, gdy nagle jakiś gwałt podniósł się w domu, jakby się kto kłócił. W chwilę potem drzwi otworzyły się raptownie i ujrzałem dwóch mężczyzn: jednym był Drebber, drugim jakiś młody nie znany mi człowiek. Ten ostatni trzymał Drebbera za kołnierz i pchnął go, a potem kopnął, tak że Drebber ze szczytu schodów wyleciał na sam środek jezdni. „Ty parszywy psie! – wołał młodzienciek grożąc mu kijem. – Ja ci pokażę obrażać uczciwą dziewczynę!” Tylko czekałem, że

²⁸ W londyńskich dorożkach w owym czasie stangret siedział z tyłu.

go wyróżnie kijem, taki był rozwścieczony. Ale ten nędznik Drebbler uciekł co sił w nogach. Już na rogu zobaczył moją dorożkę, skinął na mnie i wskoczył do środka. „Do hotelu Halliday” powiedział.

Gdy go ujrzałem w mojej dorożce, serce tak mi zabiło z radości, że bałem się, czy mi nie pięknie w ostatniej chwili. Jechałem wolno, zastanawiając się, jak teraz postąpić. Mogłem go wywieźć za miasto i na jakiejś odludnej drodze pogadać z nim po raz ostatni w życiu. Już się prawie na to zdecydowałem, gdy on sam wszystko za mnie rozstrzygnął. Znow opanoowało go pragnienie alkoholu i kazał mi stanąć przed knajpą. Wszedł do niej, a mnie kazał czekać. Siedział tam aż do zamknięcia, a kiedy wyszedł, był tak pijany, iż wiedziałem, że teraz mi nie ujdzie.

Nie myślcie, panowie, że chodziło mi tylko o to, by go zabić. Co prawda taki postępek byłby jedynie bezlitosnym wyrokiem sprawiedliwości, ale nie mogłem się na to zdobyć. Od dawna postanowiłem, że dam mu szansę ratunku, jeżeli będzie chciał z niej skorzystać. Wśród wielu zajęć, jakich się imiałem w moim awanturniczym życiu, byłem też kiedyś posługaczem w laboratorium York College. Tam zdarzyło mi się słyszeć wykład profesora o truciznach, podczas którego pokazywał on studentom pewne alkaloidy, jak je nazywał, wydobyte z południowo amerykańskich strzał, tak silne, że odrobina ich powodowała natychmiastową śmierć. Zapamiętałem sobie butelkę z tą trucizną i kiedy wszyscy wyszli, odlałem sobie trochę. Byłem dość dobrym laborantem, toteż udało mi się nadać truciznie kształt małych, łatwo rozpuszczalnych pigułek. Każdą z nich włożyłem do pudełeczka obok podobnej, zupełnie nieszkodliwej. Już wtedy postanowiłem, że w godzinie zemsty pozwolę memu wrogowi wybrać jedną z pudełka, a sam połknę drugą. Skutek będzie równie śmiertelny, a o wiele cichszy niż strzelanie zza chustki. Od tego dnia zawsze nosiłem pudełka z pigułkami przy sobie.

Minęła już północ. Było ciemno choć oko wykol, wiatr szalał i lało jak z cebra. Wprawdzie na świecie było ponuro, ale ja sam byłem szczęśliwy... tak szczęśliwy, że chciało mi się krzyczeć z radości. Jeśli któryś z panów pragnął czegoś w życiu gorąco, tęsknił za czymś przez długich lat dwadzieścia i nagle ujrzał się u celu, zrozumie moje uczucie. Chcąc uspokoić nerwy, zapaliłem cygareto, lecz ręce mi drżały, a w skroniach pulsowało. Powożąc widziałem staro Johna Ferrier i słodką Lucy patrzących na mnie z mroku i uśmiechających się – tak wyraźnie, jak panów tu widzę. Całą drogę miałem te twarze przed sobą. Wreszcie podjechaliśmy pod dom na Brixton Road.

Na ulicy nie było żywego ducha. Cicho jak makiem zasiał, tylko deszcz dudnił. Spojrzałem przez okienko i zobaczyłem Drebblera skulonego w głębokim, pijackim śnie. Potrząsnąłem nim za ramię i zawołałem:

– Czas wysiadać!

– Dobra, dryndziarzu – powiedział.

Pewnie myślał, że jesteśmy już przed hotelem, do którego kazał się zawieźć, bo wysiadł bez słowa i poszedł ze mną przez ogród. Musiałem iść obok i podtrzymywać go, bo był wciąż zamroczony. Kiedy podeszliśmy do drzwi, otworzyłem je i wprowadziłem go do frontowego pokoju. Przysięgam, że przez cały czas ojciec i córka szli przed nami.

– Ciemno tu jak w piekle – mamrotał Drebbler krocząc obok mnie.

– Zaraz będzie jasno – powiedziałem zapalając zapałkę i przytykając ją do woskowej świecy, którą nosiłem przy sobie. – Enochu Drebbler – ciągnąłem zwracając się do niego i przybliżając światło do własnej twarzy. – Poznajesz mnie?

Chwilę patrzył na mnie zamglonym, pijackim wzrokiem. Nagle przerażenie zabłysło w jego oczach, rysy mu się wykrzywiły; zrozumiałem, że mnie poznał. Zbladł, cofnął się, pot wystąpił mu na czoło, zęby zaczęły mu szczełkać. Na ten widok oparłem się o drzwi i wybuchnąłem głośnym, przeciągłym śmiechem. Zawsze wiedziałem, że zemsta będzie słodka, ale nigdy nie przypuszczałem, że sprawi mi aż taką szaloną radość.

– Ty psie – powiedziałem. – Gonilem za tobą od Salt Lake City do St Petersburga i zawsze mi się wymykałeś. Teraz skończyły się twoje wędrówki; jeden z nas już nie ujrzy wschodu słońca.

Cofał się słuchając i widziałem, że uważa mnie za szaleńca. Bo i byłem nim wtedy. W skroniach mi łomotało, jakby kto młotem walił, i chyba padłbym trupem, gdyby nie nagły krwotok z nosa.

– I cóż teraz myślisz o Lucy Ferrier?! – krzyknąłem zamykając drzwi i potrząsając mu kluczem przed nosem. – Kara zbliżała się powoli, aż wreszcie nadeszła.

Widziałem, jak tchórzliwie drżały mu usta. Może nawet błagałby o życie, ale wiedział, że się to na nic nie zda.

– Czy chcesz mnie zabić? – wyjąkał.

– Nie ma mowy o zabójstwie – odpowiedziałem. – Lecz kto o tym wspomina? Ty, wściekły psie? Czy litowałeś się choć trochę nad moim kochanym biedactwem, gdyś ją odciągnął od zamordowanego ojca i zawlókł do swego przeklętego i haniebnego haremu?

– To nie ja zabiłem jej ojca! – wykrzyknął.

– Ale jej serce pękło przez ciebie! – wrzasnąłem potrząsając przed nim pudełkiem z pigułkami. – Niech Bóg to rozsądzi. Wybierz pigułkę i łyknij. Jedna to życie, druga – śmierć. Ja przełknę tę, którą ty zostawisz. Zobaczymy, czy jest sprawiedliwość na ziemi, czy też rządzi nami ślepy przypadek.

Z dzikim krzykiem cofał się przede mną i błagał o litość. Wyciągnąłem jednak nóż, przyłożyłem mu ostrze do gardła i zmusiłem do posłuszeństwa. Potem łyknąłem drugą pigułkę i z minutę staliśmy bez słowa, czekając na śmierć lub na życie. Chyba nigdy nie zapomnę jego twarzy, gdy poczuł pierwsze skurcze bólu. Zaśmiałem się na ten widok i podsunąłem mu pod oczy obrączkę Lucy. Trwało to tylko sekundę, bo alkaloidy działają piorunująco. Ból wykrzywił mu rysy, wyciągnął ręce przed siebie, zachwiał się i z ochrypłym okrzykiem ciężko padł na podłogę. Końcem buta odwróciłem go na wznak i przyłożyłem mu rękę do serca. Był martwy!

Krew ciekła mi z nosa, ale nie zwracałem na to uwagi. Nie wiem, skąd przyszedł mi pomysł, by nakreślić napis na ścianie. Może chodziło o jakąś przekorną chęć zmylenia policji, bo na sercu było mi lekko i radośnie. Przypomniałem sobie, że w Nowym Jorku znaleziono ongiś zwłoki jakiegoś Niemca, obok których na ścianie widniał napis RACHE. Wówczas prasa podawała, że zamordowała go jakaś podziemna organizacja. Sądziłem, że to, co zaskoczyło mieszkańców Nowego Jorku, zaskoczy też i londyńczyków. Umoczyłem więc palec we własnej krwi i wypisałem to słowo w widocznym miejscu na ścianie. Skończywszy z tym, wróciłem do swojej dorożki. Noc ciągle była wietrzna i dżdżysta, a ulica pusta. Odjechałem już kawałek drogi, gdy wsunąwszy rękę do kieszeni, gdzie zawsze nosiłem obrączkę Lucy, przekonałem się, że ją zgubiłem. Jakby we mnie piorun strzelił. Przecież to była jedyna pamiątka po niej. Pomyślałem sobie, że mogła mi wypaść, gdy się pochylałem nad zwłokami Drebbiera, i zawróciłem. Dorożkę zostawiłem przy chodniku i śmiało poszedłem do domu. Gotów byłem narazić się na każde niebezpieczeństwo, byle odzyskać zgubę. Przed domem wpadłem prosto w objęcia wychodzącego policjanta i tylko udając śmiertelnie pijanego uniknąłem jego podejrzeń.

Oto jak skończył Enoch Drebbier. Teraz pozostawało mi jeszcze rozprawić się ze Stanger-sonem i spłacić mu dług za Johna Ferrier. Wiedziałem, w jakim mieszka hotelu. Kręciłem się tam cały dzień, ale Stangerson nie wytknął nosa. Myślę, że nieobecność Drebbiera zbudziła jego podejrzliwość. Stangerson był przebiegły i zawsze miał się na bacności. Mylił się jednak, jeżeli myślał, że zaszachuje mnie siedzeniem w domu. Szybko udało mi się wykryć okno jego pokoju. Następnego ranka skorzystałem z drabiny leżącej za hotelem i po niej, o świcie, dostałem się do jego sypialni. Zbudziłem go i powiedziałem, że nadeszła godzina zapłaty za życie, które zgasił tyle lat temu. Opisałem mu śmierć Drebbiera i podsunąłem pigułki. Ale

zamiast skorzystać z szansy, zerwał się z łóżka i skoczył mi do gardła. We własnej obronie pchnąłem go nożem w serce. Tak czy owak podobnie by się to skończyło, bo Opatrzność wetknęłaby zatrutą pigułkę w rękę zbrodniarza.

Właściwie powiedziałem już wszystko. I dobrze, bo czuję śmierć nad sobą. Ze dwa dni jeszcze trudniłem się dorożkarstwem; chciałem zostać przy tej pracy, póki nie zarobię na powrót do Ameryki. Stałem na postoju, kiedy przybiegł jakiś młody obdartus i zapytał, czy jest tu dorożkarz nazwiskiem Jefferson Hope, bo jakiś pan z Baker Street 221 b go wzywa. Pojechałem nie podejrzewając nic złego i zanim się opamiętałem, ten młody pan założył mi kajdany na ręce tak zręcznie, jak nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się widzieć. To już cała moja historia, panowie. Możecie mnie uważać za mordercę, ale myślę, że równie dobrze służę sprawiedliwości jak i wy.

Jefferson Hope opowiadał tak przejmująco, że siedzieliśmy w milczeniu, głęboko wzruszeni i zadumani. Nawet zawodowi detektywi, zblazowani i nawykli do najróżniejszych rodzajów zbrodni, przejęli się żywo jego opowiadaniem. Czas jakiś siedzieliśmy w ciszy, przerywanej tylko skrzypieniem ołówka Lestrade'a, który zapisywał ostatnie słowa opowieści.

– Jest jeszcze jeden szczegół, który chciałbym wyjaśnić – odezwał się w końcu Sherlock Holmes. – Kto był pańskim współnikiem, który na moje ogłoszenie zgłosił się po obrączkę?

Więzień żartobliwie mrugnął okiem odpowiadając memu przyjacielowi:

– Mogę zdradzić tylko własne tajemnice. Nie chcę nikomu przysparzać kłopotu. Przeczytałem pańskie ogłoszenie i pomyślałem, że może być ono pułapką, a może też zwrócić mi upragnioną obrączkę. Mój przyjaciel zgodził się pójść i zobaczyć. Przyzna pan, że dzielnie się spisał.

– Przyznaję – szczerze rzekł Holmes.

– Panowie – poważnie wtrącił się inspektor – musimy przestrzegać przepisów prawa. We czwartek aresztowany stanie przed sądem, a panowie zostaniecie wezwani. Tymczasem ja za niego odpowiadam.

Zadzwoił i dwóch strażników zabrało Jeffersona Hope, a my z Sherlockiem Holmesem wróciliśmy dorożką na Baker Street.

Zakończenie

Wszystkim nam kazano stawić się przed sądem we czwartek. Ale kiedy dzień ten nadszedł, nasze zeznania nie były już potrzebne. Najwyższy Sędzia ujął sprawę w swe ręce i Jefferson Hope stanął przed trybunałem boskim, który sprawiedliwie zważył jego uczynek. W noc po ujęciu pękło serce Jeffersona Hope; rano znaleziono go na podłodze celi z błogim uśmiechem na ustach, jakby w ostatniej godzinie jasno ujrzał całe swoje życie i dobrze spełnione dzieło.

– Gregson i Lestrade wściekną się z tego powodu – zauważył Holmes, gdy następnego wieczoru rozmawialiśmy o śmierci Jeffersona Hope. – Szumna autoreklama wzięła w łeb.

– Nie wydaje mi się, żeby ujęcie Jeffersona Hope było ich zasługą – powiedziałem.

– Na świecie nie ma znaczenia to, czego się dokonało – gorzko rzekł Holmes. – Chodzi tylko o to, by ludzie myśleli, że się czegoś dokonało. Ale pał sześć – ciągnął już pogodniej – za żadne skarby nie wyrzekłbym się tej sprawy. Jak sięgnę pamięcią, nie miałem wspanialszej. Niesłuchanie prosta, miała wiele pouczających momentów.

– Prosta?!

– Trudno ją nazwać inaczej – Sherlock Holmes uśmiechnął się na widok mojej zdziwionej miny. – Choćby dlatego, że jedynie przy pomocy prostej dedukcji mogłem pochwycić przestępcę w ciągu trzech dni.

– To racja – przytaknałem.

– Już raz powiedziałem panu, że to, co wychodzi poza szablon, jest raczej pomocą, a nie przeszkodą. W rozwiązywaniu tego rodzaju problemów należy przede wszystkim umieć myśleć „wstecz”. Ta metoda zwykle bywa bardzo skuteczna i łatwa, lecz ludzie rzadko z niej korzystają. W życiu codziennym bardziej oplaca się rozumować „naprzód” i dlatego zaniedbuje się myślenia wstecz. Na ogół jeden człowiek na pięćdziesięciu rozumuje analitycznie, gdy reszta – syntetycznie.

– Przyznaję – powiedziałem – że nie bardzo pana rozumiem.

– Nie łudziłem się, że pan mnie zrozumie. Zobaczmy, czy potrafię wyrazić się jaśniej. Większość ludzi, wysłuchawszy biegu wydarzeń, powie panu, co z nich wynikło. Połączą je sobie w umyśle i wywnioskują, co się dalej stać mogło. Ale niewielu znajdziemy takich, którzy z końcowego wyniku zdolają odtworzyć bieg wypadków, jakie do niego doprowadziły. O takiej właśnie zdolności myślenia mówiłem wspominając o rozumowaniu „wstecz”, czyli – analitycznym.

– Pojmuję – powiedziałem.

– W tej sprawie „wiadomą” był wynik, do reszty trzeba było dojść samemu. Pozwoli pan, że go teraz wtajemniczę w kolejne etapy mego rozumowania. Zaczniemy od początku: Poszedłem do tego domu nie mając jeszcze żadnego sprecyzowanego zdania. Oczywiście zacząłem od badania ulicy i jak już panu wspominałem, dostrzegłem wyraźny ślad dorożkarskich kół, który – ustaliłem to w paru pytaniach – pozostał tam z nocy. O tym, że była to dorożka, a nie powóz prywatny, powiedział mi wąski ślad kół. Zwykła londyńska drynda jest dużo węższa od wielkopańskiej karety.

Było to pierwsze zwycięskie osiągnięcie. Potem przeszedłem wolno wzdłuż ogrodowej ścieżki. Tak się złożyło, że była gliniasta, cudownie konserwująca ślady. Dla pana niezawodnie była tylko wydeptaną grząską ścieżką, ale dla mego wprawnego oka każdy odcisk na niej miał swą wymowę. W służbie śledczej żadna gałąź nie jest chyba tak ważna – i tak zaniedbana zarazem – jak sztuka czytania śladów. Na szczęście zawsze przywiązywałem do niej wielką wagę, a stała praktyka znakomicie mnie w tym wyszkoliła. Widziałem ślady ciężkich stóp

konstabla, ale dostrzegłem też ślady dwóch ludzi, którzy przedtem przeszli przez ogród. Łątwo było wywnioskować, że szli tędy wcześniej, bo miejscami ślady ich stóp zatarte były przez inne, odcisnięte na nich. W ten sposób odkryłem drugie ogniwo, które powiedziało mi, że nocnych gości było dwóch: jeden bardzo wysoki (wyliczyłem to sobie z długości jego kroków), a drugi wytwornie ubrany, co mogłem wywnioskować z niewielkiego i eleganckiego odcisku bucików.

Zaraz po wejściu do pokoju znalazłem potwierdzenie swojej tezy. Człowiek w eleganckich trzewikach leżał przede mną. A więc mordercą musiał być ów wysoki, jeśli w ogóle morderstwo wchodziło w rachubę. Na zwłokach nie było żadnych ran, ale wykrzywione strachem rysy zmarłego wskazywały, że wiedział, co go czeka. Twarze ludzi zmarłych na udar serca czy z jakiejś innej nagłej przyczyny nigdy nie są tak wykrzywione. Powąchałem wargi trupa, poczułem kwaśny odór i wywnioskowałem, że tego człowieka zmuszono do zażycia trucizny. A że go do tego zmuszono, wynikało z wyrazu nienawiści i przerażenia zastygłego na jego obliczu. Doszedłem do tego wniosku stosując metodę eliminacji: kolejnego odrzucania innych możliwości. Pozostawiłem tylko to, co odpowiadało faktom. Niech pan nie sądzi, że podobny wypadek zabójstwa jest odosobniony. Zmuszenie do przełknięcia trucizny nie jest niczym nowym w kryminalnych kronikach. Sprawa Dolskiego w Odessie i Leturiera w Montpellier od razu przyjdzie na myśl każdemu toksykologowi²⁹.

A teraz pozostało najważniejsze zagadnienie: powód morderstwa. Nie chodziło o rabunek, bo zmarłemu nic nie zabrano. A więc polityka czy kobieta? To było pytanie, na które musiałem sobie odpowiedzieć. Polityczni mordercy zawsze pragną jak najszybciej dokonać dzieła i zaraz uchodzą. Tego morderstwa zaś dokonano z premedytacją, a zabójca pozostawił po sobie ślady w całym pokoju, które wskazywały, że bawił tam dość długo. Zatem osobista krzywda, nie polityczne względy, upominała się o tak obmyślaną zemstę. Napis odkryty na ścianie jeszcze bardziej mnie utwierdził w tym mniemaniu. Widocznie chodziło o zmylenie policji. A znaleziona obrączka rozwiązała resztę wątpliwości. Jasne było, że zabójca użył jej, by przypomnieć ofierze jakąś zmarłą czy nieobecną kobietę. Dlatego zapytałem Gregsona, czy w swej depeszy do Cleveland pytał o jakiś specjalnie ciekawy fakt, który odegrał rolę w życiu Drebera. Jak pan pamięta, Gregson odpowiedział przecząco.

Zabrałem się więc do szczegółowego badania pokoju. Upewniło mnie ono, że się nie myliłem co do wzrostu mordercy. Dostarczyło mi też dodatkowych danych o długości jego paznokci i cygarze „trichinopoly”, które palił. Nie znalazłem śladów walki i z tego wywnioskowałem, że krew musiała pochodzić z nosa mordercy, który na skutek niezwykłego podniecenia dostał widocznie krwotoku. Zauważyłem, że krwawe ślady towarzyszą jego krokom. Rzadko człowiek dostaje krwotoku ze wzruszenia, chyba że ma w sobie dużo krwi. Zaryzykowałem więc twierdzenie, że morderca musi być krzepki i rumiany. Wypadki dowiodły, że miałem rację. Po wyjściu z domu zrobiłem to, czego Gregson zaniedbał. Zadepeszowałem do szefa policji w Cleveland, prosząc jedynie o podanie mi danych dotyczących małżeńskiego pożycia Enocha Drebera. Odpowiedź stawiała kropkę nad „i”. Dowiedziałem się, że Dreber zwracał się już z prośbą o obronę przed dawnym rywalem w sprawach miłosnych, Jeffersonem Hope, i że ten właśnie Hope bawi obecnie w Europie. Teraz już byłem pewny, że trzymam w ręku klucz od tajemnicy. Chodziło tylko o ujęcie zabójcy.

Wiedziałem już, że człowiek, który wraz z Dreberem wszedł do domu, powoził dorożką. Ślady na ulicy wskazywały bowiem, że koń ruszył trochę z miejsca i zboczył, czego by nie zrobił, gdyby go ktoś pilnował. Gdzież więc mógł być stangret, jeśli nie w tym domu? I znowu absurdem byłoby przypuszczać, że ktoś zdrowy na umyśle dokonałby obmyślanej zbrodni na oczach świadka – w tym wypadku dorożkarza – który by go mógł zdradzić. W końcu, zakładając, że jeden człowiek zamierza tropić drugiego po całym Londynie, czy wybierze coś

²⁹ T o k s y k o l o g – badacz trucizn.

lepszego od roli dorożkarza? Te rozważania doprowadziły mnie do nieodpartego wniosku, że Jeffersona Hope trzeba szukać wśród dorożkarzy stolicy.

Jeżeli był jednym z nich, to należało także przypuszczać, że jeszcze nim zostanie. Z jego punktu widzenia raptowna zmiana mogła ściągnąć nań uwagę. Dlatego przynajmniej przez jakiś czas będzie dalej pracował. Nie było też powodu przypuszczać, że się ukrywa pod przybranym nazwiskiem. Czemu miałby je zmieniać w kraju, gdzie nikt go nie zna. Uciekłem się więc do pomocy mego oddziału ulicznych i wysyłałem ich po kolei na każdy postój dorożek w Londynie, aż wreszcie znaleźli szukanego przeze mnie człowieka. Chyba pan dobrze pamięta, jak zręcznie moi pomocnicy działali i jak szybko wykorzystałem ich pomoc. Zamordowanie Stangersona sprawiło mi zupełną niespodziankę, ale wątpię, czy można było temu zapobiec. Przez to morderstwo doszedłem, jak pan wie, do pigulek, których istnienia już się domyślałem. Widzi pan, mamy tu cały łańcuch logicznych wniosków, w którym nie znajdzie pan najmniejszego pęknięcia.

– Wspaniale! – zawołałem. – Ludzie muszą się dowiedzieć o pańskiej zasłudze. Powinien pan opublikować sprawozdanie. Jeśli pan nie chce, ja to uczynię.

– Doktorze, może pan zrobić, co się panu podoba – odparł Holmes. – Ale proszę spojrzeć na to – podał mi gazetę.

Było to „Echo” z owego dnia, a artykuł, który mi wskazał, dotyczył omawianej przez nas sprawy.

„Na skutek nagłej śmierci niejakiego Hope'a, którego podejrzewano o zabójstwo Enocha Drebbera i Józefa Stangersona – czytałem – publiczność straciła możliwość przeżycia dreszczyka emocji. Okoliczności towarzyszące tej ciekawej sprawie pewnie nigdy nie wyjdą na jaw, wiemy jednakże z dobrze poinformowanego źródła, że chodziło tu o krwawą zemstę na tle zadawnionej, romantycznej nienawiści, w której miłość i mormoni odegrali znaczną rolę. Wydaje się, że obie ofiary należały w młodości do sekty mormonów, a Hope, zmarły aresztant, również pochodził z Salt Lake City. Jeśli sprawa na tym się skończy, będzie wiadomo przynajmniej, że nasza policja pracuje dzielnie i że wszyscy obcokrajowcy mądrzej zrobią załatwiając swe porachunki u siebie, a nie na brytyjskiej ziemi. Publiczną tajemnicą jest, że cała zasługa szybkiego ujęcia mordercy przypada wyłącznie dwom znanym urzędnikom Scotland Yardu, panom: Lestrade'owi i Gregsonowi. Zabójcę ujęto podobno w mieszkaniu niejakiego Sherlocka Holmesa, dość zdolnego detektywa-amatora, który pod kierunkiem takich ludzi może się z czasem czegoś nauczyć. Spodziewamy się, że obu wspomnianych oficerów nie minie godna nagroda w uznaniu ich zasług”.

– Czy nie mówiłem tego na samym początku?! – śmiejąc się wykrzyknął Sherlock Holmes.
– Skutek naszego „Studium w szkarłacie” – to nagroda dla nich.

– Nic nie szkodzi – powiedziałem. – Mam wszystko zapisane w moim notatniku i społeczeństwo dowie się prawdy. A tymczasem musi się pan zadowolić świadomością osiągniętego powodzenia, tak jak rzymski skąpiec:

Ludek mnie wygwizduje, lecz ja sobie brawo
biję w domu, od skrzyni uchyliwszy wieka³⁰.

³⁰ Dwuwiersz z satyry Horacjusza, słynnego rzymskiego poety i satyryka, który żył w I w. p.n.e. Przekład Jana Czubka.

SPIS TREŚCI

Część I

- I. Sherlock Holmes
- II. Sztuka dedukcji
- III. Tajemnica Lauriston Gardens
- IV. Co miał do powiedzenia John Rance
- V. Na ogłoszenie zjawia się gość
- VI. Tobiasz Gregson pokazuje, co umie
- VII. Światelko w mroku

Część II

- VIII. Na wielkich, słonych równinach
- IX. Kwiat Utahu
- X. John Ferrier rozmawia z prorokiem
- XI. Wyścig o życie
- XII. Aniołowie-Mściciele
- XIII. Dalszy ciąg wspomnień dr Johna Watsona
- Zakończenie